



Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



JÓZEF
ZEMŁA

W

**OBOZACH
JENÓW
WOJENNYCH
NA SYBERJI**

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA, KRAKÓW — LUBLIN —
ŁÓDŹ — PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE 1934



**JÓZEF
ZEMŁA**

W

**OBOZACH
JEŃCÓW
WOJENNYCH
NA SYBERJI**

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA, KRAKÓW — LUBLIN —
ŁÓDŹ — PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE 1934

561.121.991.

POMORSKI

VI.

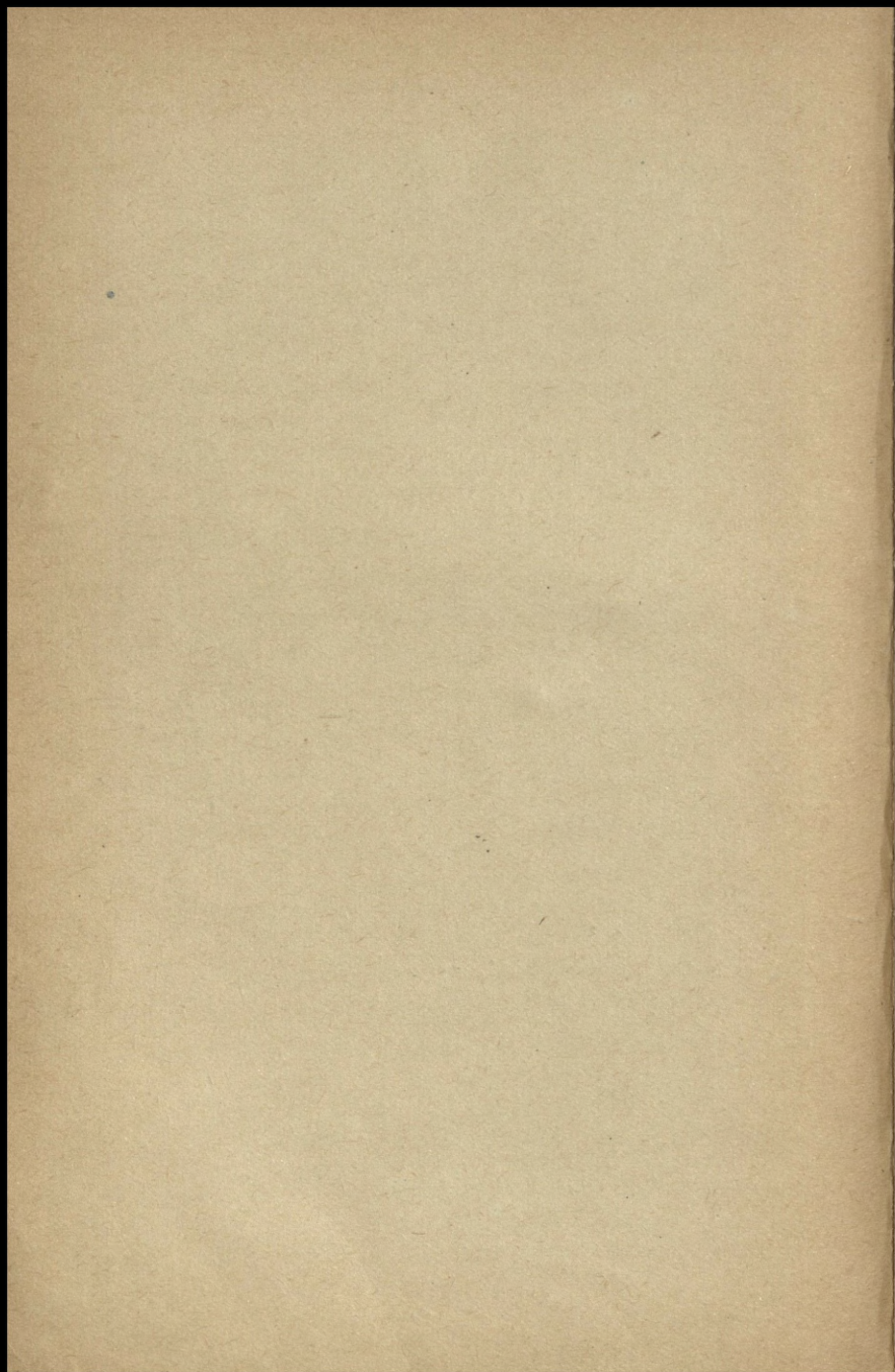
W OBOZACH JEŃCÓW WOJENNYCH
NA SYBERJI

data

2 14 576 112

C

a
8



J Ó Z E F Z E M Ł A

W OBOZACH
JEŃCÓW WOJENNYCH
NA SYBERJI

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA, KRAKÓW — LUBLIN
ŁÓDŹ — PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE 1934

884-3:8(355)



40163/1

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1952 D 823/540

I.

Na wzgórzach za Pilicą wrzała walka. Wojska austriackie broniły z uporem pozycyj zdobywanych przez Rosjan. Szumiał od zgiełku ludzkiego las i jęczała eksplozją pocisków szarpana ziemia. Bliżej dworu Wierzbki uspokoił się naraz wojenny harmider i ucichł. Skorzystaliby z tej przerwy kozacy i spędzali schwytych jeńców na drogi wiodące do Żarnowca.

— Nu, pan, awstrjec! ¹ — wołali. — Skariej, ² po czetyre, ³ stanowią! ⁴

Ale jeńcy ustawić się nie mogli. Ciągłe im się zdawało, że w walce dalej tkwią, że wśród terkotania karabinów i huku armat przeznaczenie kreśli im ostatnią godzinę. Nie mogli się oswoić z tem, że oto odeszli z pól krwawych i mają zawrócić do spokojnych dni życia. Ukrywali się więc we fosach przydrożnych,

¹ austrjak; ² prędzej; ³ cztery; ⁴ ustawiaj się.

w chatach niedalekich i chlewach. Uciekali ku okopom, jak przed beznadziejną pustką. Ginęli pod ciosami szabel ścigających ich kozaków. Krwią zlewali grudy ziemi i kamienie rozrzucone po drogach.

A gdy ciężko ranni lub chorzy pozostali wreszcie sami, nie wypowiedzieli żadnego słowa. Blade ich twarze skurczyły się w bolesnych drgawkach. Sponiewierane istoty ludzkie jękiem tłumiły swe cierpienia.

Przechodziły obok nich nowe gromady jeńców, szli do nowych walk żołnierze. Nikt do nich nie podszedł i nikt choćby jednym dobrem słowem nie pożegnał.

*

Ze zbliżeniem się nocy nastała cisza. Tylko we dworze było gwarno. Sztab dywizji rosyjskiej po gorącym dniu zasiadł do wspólnej wieszery w sali rycerskiej dworku. Jakgdyby nic się ważnego wokoło nie działo. Jakgdyby na polach nie leżeli zabici i ranni. Ludzie mówili o drobnostkach życia. Podchodzili ku sobie z uprzedzającą uprzejmością, a dwóch oficerów jeńców, których zaprosili do stołu traktowali, jak dobrych przyjaciół.

— Podziwiam wasze zachowanie się —

mówił do oficerów jeńców młody sympatyczny kapitan, — gdy wczoraj maszynowemi karabinami obstrzeliwałem dolinę za Pilicą. Gdyby nie podkop artyleryjski, który przypadkowo na dolinie natrafiliście, niktby z was nie pozostał przy życiu.

— O tak. Zdawałoby się mogło, iż wspomnienie niedawnych przykrych przeżyć wzbudzi w nas nienawiść. A tymczasem przeciwnie. Jakiś nieokreślony sentyment wiąże nas ze sobą tak, jakgdybyśmy jeden drugiemu ratowali życie. Cieszymy się, że możemy ze sobą razem porozmawiać o tych decydujących o naszym istnieniu chwilach i życzymy sobie pomyślności.

— Tak, tak — westchnął kapitan. — A jutro... jutro, gdyby los nas ustawił znowu na wrogich sobie pozycjach, pójdziemy do ataku i zapomnimy, iż wczoraj pożegnaliśmy się jak przyjaciele.

Rozmowę przerwał generał rosyjski wypytowaniem się jeńców w jakich bitwach brali udział, a gdy stwierdził, że sam także w tych wszystkich walkach przebywał, tak kończył:

— Nu, a teraz pojedziecie daleko od wojny. Rozrzućeni po szerokich przestrzeniach naszego państwa będziecie mieli dość czasu, by

wszystkie swoje przeżycia należycie przetrwać, by to, co było uszlachetnić lub przekląć i potępić. Młodzi, obracaliście się raczej w świecie ideałów. Do życia codziennego wciągnięto was nagle i pokazano jego najbezwzględniejszą formę. Czy nie załamiecie się i nie upadniecie? Czy jak młode piękne drzewo pokręcone burzą, zawalane błotem nie wyprostujecie się znowu i nie zawrócicie myślą do dni pięknych, pogodnych, jak uśmiech niewinnego dziecka? Ale już czas pójść na odpoczynek. Tam, na polu walk niema czasu do zastanawiania się nad życiem. Tu, zdaleka, w spokoju myśli przychodzą nam wspólne.

*

Esauł¹ kozacki odprowadził jeńców na nocleg do jednej z komnat dworu, a sam odjechał ze swoją kozaczą watahą na wywiady.

Pozostał młody praporszczyk.² Znużonym jeńcom opowiadał jeszcze długo o swoich niedawnych studjach w Petrogradzie, jakby już jutro może nie miał przeżyć chwil takich, że młodzieńcze lata rozplyną się bezpowrotnie, jak bańki po deszczu na wzburzonej wodzie.

¹ stopień oficera kozackiego; ² chorąży.

Późno w noc posnęli jeńcy. Usnął również niezmordowany swemi opowiadaniem młodziutki praporszczyk.

Na dworze było już ciemno. Daleko za lasami huczały działa. Głucho szumiały drzewa w ogrodzie dworskim i przy drogach. Nieprzerwanie tłukły się po szybach okien gałęzie rozłożystej topoli, a lekki podmuch wiatru wrzucał do pokoju ostatnie zeschnięte liście.

Opodał bramy wchodowej na łące płonął ogień. W blaskach jego widoczne były sylwetki rosyjskich żołdatów opartych o karabiny i grzejących zziębnięte ręce.

— Nawet przespać się niema czasu przed śmiercią — stękał jeden. — Taka psia służba za frontem. Lepiej iść już tam, do okopów i zginąć.

— Poczekaj brat — przerwał drugi. — Nie trzeba się spieszyć. Przyjdzie czas. Ułożysz się na tych pustych polach lub w jarach, bezużyteczny i nikomu niepotrzebny.

II.

O świcie pognali kozacy nowych jeńców do Żarnowca. Z jeńcami poszli także dwaj oficerowie, którzy noc spędzili we dworze.

Dzień był ponury i śnieżny. Droga pełna wyrw prowadziła przez pola, małe laski i zarosła. Wichr przeganiał śnieg z wzgórz na doliny, z dróg do rowów i jarów.

Było zimno.

Zmęczeni i sterani wojną jeńcy wojenni ledwie przekładali nogami. Wtulali głowy do podartych i zwalanych błotem płaszczów, uszy obwijali brudnymi szmatami i szli jak gromada bezdomnych nędzarzy.

Daleko za nimi dymił i błyskał strasznymi ogniami, front krwawy. Tam przetapiał się człowiek na innego człowieka. Miał zginąć lub zejść na te same drogi prowadzące do dawnego, a jakże obcego mu dziś życia.

Weszli wszyscy w ulice miasteczka Żarnowca. Ledwie mogli się przecisnąć między furgonami, furmankami i gromadami ciekawych ludzi. Szły właśnie do walk wojska syberyjskie. W wysokich białych kudłatych papachach.¹ Długim szeregiem. Zwarte nierzadko skośne oczy przypatrywały się ciekawie obdartym wynędzniałym jeńcom.

— Hej, słyszysz, dużo was jeszcze zostało w tej małej Austrii — wołano. — Czapkami

¹ czapach.

nakryjemy wasz kraj. Napróżno walczyć. Padnie Kraków, zajmiemy Budę i z Wiednia wypędzimy starego kajzera, Hu, ha, hu, ha, hu, ha, hu, ha, hu — ha.

Mijały rotty, bataljony, pułki. Okrzyki powtarzały się te same i te same nawoływania. Młodzi z zapalem spieszyli na plac bojów, — do rozszalałego nieznanego im jeszcze życia. Ogarniał ich strach i lęk. Równocześnie atoli pchała ich naprzód chęć zetknięcia się z wojenną grozą, z tem wszystkiem, co zdaleka przedstawiano im jako niezwykajne, wymagające bohaterstwa, odwagi i przewyciężenia trudów. Młodość tryskająca zdrowiem osłaniała się mgłami ułud i zaprowadzała buńczucznych chłopaków pod wrota samej śmierci. Tam dopiero znikał czar i wdzięk młodego życia. Stamtąd szła droga do triumfu ludzkiego lub do upadku ducha.

*

Z Żarnowca przyprowadzono jeńców do Styczowa. Zafrontowe ciarachy wyległy ze wszystkich dziur, otoczyły jeńców i z twarzy ich chciały wyczytać wszystkie okropności wojny. Wypytywały się natarczywie o różne głupstwa, deptały po nogach, zaglądały do

ócz, obmacywały, przepychały z miejsca na miejsce. Wkońcu zdejmowały czapki i płaszcze. Ubierały się w nie, podziwiając się nawzajem w strojach austriackich czy niemieckich żołnierzy i oficerów. Dopiero jakiś oficer rosyjski rozpędził nienasyconą bandę i odesłał jeńców dalszą drogą ze Styczowa do Jędrzejowa i Chęcín.

*

Włókł się jeniec ze spuszczoną głową i nic go nie obchodziło. Nie pytał się nikogo, dokąd go wiodą i jaki będzie kres jego tułaczki. Szedł, jakby tam, daleko przed nim było olbrzymie morze, w którym wreszcie miał utonąć.

W Jędrzejowie odpoczął na mokrej skrzwionej słomie, z której na jego oczach trupy ściągnięto i dziwił się, dlaczego usuwa się zmarłych, kiedy przy nich mógł się równie dobrze do snu ułożyć.

W Chęcínach przyglądał się spokojnie, jak kozacy nahajkami odpędzili od niego handlarzy żydowskich, chcących mu chleb sprzedać, chociaż rękę wyciągał po strawę, głodny.

Bez wzruszenia wysłuchał gróźb komendanta etapu chcącego jeńców powiesić na niedalekich drzewach.

Zmarłych po drodze współtowarzyszów
spychał niedbale do rowów, jak padlinę.

*

A gdy stanął u bram cmentarzy kieleckich,
wzrokiem zaczął nagle wodzić po grobach,
mogiłach i setkach pochylonych pomników.
Zdawało się, że chce się nad czymś zastano-
wić.

Patrzył...

Na grobach stały okazałe grobowce, mar-
murowe pomniki, żelazne rdzą zżarte krzyże
i maleńkie drewniane ręką żołnierską wydłu-
bane krzyżyki. Tu i tam wiatr ledwie spędził
garście z drzew opadłych i zgniłych już liści.
Wiele miejsc wiecznego odpoczynku zarosła
trawa chuda, wysoka, stercząca ponad zwały
śnieżne.

Ułożono tam kiedyś mocarnych, chcących
życie ludzkie przeobrazić według swych myśli.
Wrzucono do jam nędzarzy, jak się wrzuca na
śmietnik niepotrzebne graty. Ziemia przykryła
tych, którzy śmierci pragnęli jako wyzwole-
nia z męczarni życia i tych, którzy o zejściu
z tego świata nie myśleli.

Wśród starych grobów były świeże mogiły



oficerów i żołnierzy — różnych narodów wojującej Europy.

Wszyscy w proch się obracali.

Jeniec oparł się o najbliższy pomnik lub siadł pod parkanem cmentarnym. W rozkołatanej jego głowie myśli tłoczyły się, jak nigdy dotąd od czasu rozpoczęcia walk. Lęk go ogarniał przed nowem życiem, które czekało za wrotami cmentarnymi i miało zaprowadzić niewiadomo w jakie dni.

III.

Wyszedł na drogę, pot zimny stał z czoła i popatrzył na takich samych ludzi. Chciał coś powiedzieć, chciał się z myślami podzielić. Nic jednak nie powiedział. „Nie warto“. „Poco?“ Czuł, że jest djabelnie wyczerpany, że jest głodny i zdawał sobie sprawę, że musi iść w gromadzie ludzi złorzeczących i musi się upadlać. Następujących mu na pięty współtowarzyszów odpychał brutalnie. Odchodził od gromad, to znów w gromadę się wciskał. Oburzał się na zniewagi, a sam znieważał najbliższych. Przed Chmielnikiem spowodował wrzawę. Rzucał się na drugiego jeńca z niepowścią-

gliwą zawziętością. Bił się nawzajem pięściami, kopał, gryzł, jak dzikie zwierzę.

Zdawało się, że chce potargać jakieś niewidzialne pęta, które wiązały żywą jeszcze istotę, starającą się przedewszystkiem oswobodzić.

Rosyjski żołnierz walił nahajką i karabinem. Rozbrajał walczących ze sobą jeńców i porządek wreszcie przywrócił.

Bezsilny, zmęczony jeniec wstąpił do szeregów. Szedł znowu dalej, w kierunku Rakowa i upadał na drogach. A gdy już siły nie pozwalały dowieść się do najbliższej chaty, zaciśnął zęby i ginął lub przemieniał się w natręta zebrzącego łaski i litości.

*

Władze rosyjskie niezawsze atoli dawały jego prośbom posłuch. „Spaliliście dworce kolejowe, burzyliście tory i mosty — mówili komendanci etapów — rekwirowaliście konie i wozy, a teraz chcecie byśmy was przewozili? Z miast i wsi zabraliście żywność tak, że ludność głodować musi, a chcecie byśmy wam poddostatkiem strawy dostarczali? Czegoż zresztą od życia chcecie wy, którzy szliście na

spotkanie śmierci? Bądźcie zadowoleni, że pozwolimy wam, jak psom wegetować“.

Jeńcy przestali prosić. Przestali również narzekać. W milczeniu zdawało się ginęli i w milczeniu, jak gromada upiorów wlekli się wśród śmieżnej zawieruchy po pustych polach.

*

Do najbliższego etapu doszli już tylko najmocniejsi.

Komendant zlitował się i kazał ich odwieźć w dalszą drogę furmankami.

Był piękny dzień oświecony jaskrawem słońcem.

Furmanki jedne za drugimi wyjechały na równinę. Mijały pojedyncze stare przydrożne drzewa, kapliczki i małe laski sosnowe. Pod wieczór zbliżyły się do miejscowości zwanej Jaworem.

Zdaleka, wśród drzew, białł się mały dworek, a przed nim wśród kozaków stał stary pułkownik w brudnym kożuchu i czekał na przybycie furmanek z Ostrowca. Uderzał nerwowo ręką po trokach kożucha i gdy jeńcy ustawili się już w szeregu, rozkazywał:

— Grigorij zamknąć ich we dworze!

Grigorij, wysoki podoficer, przy pomocy

kozaków wepchał wszystkich w liczbie około pięćdziesięciu do małej izby zaścielonej do połowy słomą, przykrywającą kał ludzki po poprzednich jeńcach w taki sam sposób goszczonych we dworze. Resztę rozmieścił po pobliskich stajniach.

O posiłku żadnym nie było mowy. Nie można się było doprosić nawet szklanki wody.

— Nielzia¹ — odpowiadał na wszystko, kozak w wysokiej rudej czapie zrobionej z austriackiego tornistra, któremu kazano pilnować jeńców we dworze.

— Chorzy są między nami — ktoś przemawiał — przynieście choć wody.

— Wam żyć, a mnie umierać? Pułkownik, nie daj Bóg, srogi. Kazał stać, strzelać i nie rozmawiać. Nic nie poradzisz. Wy odejdziecie stąd, a nam sobacza² służba.

Około północy jednak żołdat zmiękł, dał się przekonać i za parę srebrnych rubli wypuścił kilku jeńców po „czaj“³ do kowala za stawem.

— Ot widzisz — przygadywał — i wam

¹ nie wolno.

² psia.

³ herbata.

żyć „nużno“.¹ Czyż można ludzi chleba i wody pozbawić?

*

Nad ranem ustawiono wszystkich jeńców do przeglądu. Brakowało czterech. Może źle obliczono na poprzednim etapie, a może żołdaci pomylili się w meldunku.

Pułkownik trzymał się „bumagi“² i kazał szukać we dworze. Groził rozstrzelaniem żołdatom i powieszeniem jeńcom. Kazał liczyć bez przerwy i bez przerwy meldować. Zły i znużony wreszcie zawołał:

— Z pól zwlec trupy umarłych i odwieźć za żywymi na wozach do najbliższego etapu, aby było „odstawionem“ tyle ludzi, jak wypisano.

I tak się stało.

Żołdaci znaleźli zmarłych i zameldowali, że nikogo nie brakuje. Bumagi wsadzili za cholewy butów i ruszyli ku Zwoleniowi.

Żywi szli pieszo.

Dopiero, gdy dworek zginął z oczu maszerujących gromad, żołdaci przestali drzeć. Wyszukali w najbliższej okolicy sami podwody, usadowili się obok jeńców we wozach, wrzu-

¹ trzeba.

² dosłownie papier, tu spis.

cili do półkoszków karabiny, wyciągnęli z worków ukryte harmonijki i poczęli grać zawrotne piosenki kozackie. Jakgdyby nie ci sami ludzie. Cieszyli się, jak dzieci. Chwyтали do rąk karabiny i strzelali z radości. Szaleli, śpiewali, tańczyli. Zachowywali się, jak młode nieokiełzane rumaki, które zerwały się z uwięzi. Nieokiełzaną wydawała im się cała przyroda. Sposępnili dopiero, gdy na horyzoncie zamajaczyło nowe osiedle ludzkie. Przypomnieli sobie komendanta z Jawora.

— Tam czekają na nas „błagorodja“¹ — westchnęli.

Popatrzyli z żalem na „garmoszki“,² włożyli je do worków i zanucili piosenki inne: posępne, nudne, rabie.

IV.

Zajechali do Zwolenia, a stąd wyprowadzono jeńców na drogi wiodące do Puław. Szli przez miejsca niedawnych zawziętych październikowych bojów. Przyglądali się spalonym chatom, sterczącym kominom wśród rumowisk, zburzonym kościołom i tysiącom mo-

¹ wielmoże.

² harmonijki.

gił żołnierskich rozrzuconych na polach i pod lasami.

Obszarpane postacie dawnych wojowników gorączkowo przebiegały myślą miejsca, gdzie w szale wojennym, niedawno jeszcze rzucały się, nie mogąc znaleźć ukojenia. Do ich świadomości wgryzała się cała groza spełnionych tu czynów. Zdawało im się, że pogrzebane w tych świeżych mogiłach ofiary wojny światowej wyrastają na nowo z ziemi, stają w szeregi, tyraljerki i owiane dymem wśród huk armat i grzechotania karabinów pędzą pod las, nad brzegi Wisły lub wracają stamtąd krwią zbroczone, ciężko dyszące, obłądne.

— Musimy odpocząć — zawołało naraz kilku.

• — Zatrzymajmy się — powtórzyli dalsi. — Tak tutaj, czegoś ciężko, tak nam coś oddech zapiera.

I usiedli. Na drodze, na brzegach wyrw po eksplozji granatów, na kupach kamieni przydrożnych, na opalonych drzewach, gdzie mogli.

Patrzyli w puste obecnie pola, wodzili wzrokiem po pobliskich lasach. Pola i las w oczach ich zapępniały się ludźmi żywymi, do uszu dochodził ten sam zgiełk i huk paż-

dziennikowy. Przebiegali miejsca nigdy niezapomniane.

Chwile te były straszne. Jakże jednak pięknym wydawał się młody człowiek umiejący ginąć i cierpieć w porównaniu z obecnym włóczęgą myślącym o utrzymaniu swego życia nawet za cenę najgorszego spodlenia.

— O tam, tam, na tym małym wzgórku pod brzoza — pokazywał młody jeniec z obandażowaną głową. — Tam ledwie trzech ludzi uszło z życiem. Szli z uśmiechem takim, z jakim tylko młodzi zdrowiem obdarzeni ludzie witają najtrudniejsze przedsięwzięcia życia. W najcudniejszy czas około południa, gdy złote liście drzew mieniać się padały na ziemię jedne za drugimi, a promienie słoneczne smugami oplatały ścieżki leśne, zaterkotały nagle maszynówki. Świst przeraźliwy przeszył powietrze i nim oczarowani nadmiarem piękna przyrody młodzi pojęli grozę sytuacji, zsiękani pociskami przeszli na drugi świat, zabierając ze sobą na wieki uśmiech jaśniejących, opalonych lic.

— A tam, gdzie tyle choin sterczy na polu — wzdychał inny. — Leżały setki trupów młodych ludzi. Przypominam sobie, jak chłopacy ci nucili ostatnie wesołe piosenki. Widzę

jeszcze, jak ruszają z jam, idą do ataku pod gradem pocisków karabinów maszynowych. A dalej... w zawziętej walce, w ciemną noc odbijano sobie nawzajem kawałek ziemi, dziś opuszczony przez człowieka. O tak, pod otwarte paszcze karabinów szły szeregi za szeregi. Na trupy młodych ludzi przewracali się nowi młodzi żołnierze. Schodzili ze świata, zostawiali kłopoty innym, a niejednemu z nich zdawało się, że człowiek może być takim, jakim jest, gdy ma się rozstać z życiem. Myśmy pozostali. Oddalamy się od nich z dniem każdym. Chwile przeżytej grozy zacierają się w pamięci. Wylażą z nas karły złośliwe i pełne nikczemności. Płyniemy z życiem, które poniesie nas niewiadomo jeszcze przez jakie błota. Piękne twarze młodych chłopaków, naszych dawnych towarzyszków, ginących na tych polach napewno staną przed oczyma, gdy nie będziemy mieli dość sił, by wyleźć z lepkiego błota. Będą patrzyły na nas, jakby chciały powiedzieć: „Czyż mało przeżyliście ciężkich chwil w życiu, że nie potraficie się otrząsnąć z podłości?”

Jeńcy oparli na dłoniach głowy...

Milczeli...

Lekkie puszyste płatki miękkiego śniegu

opadały spokojnie na zoraną pociskami armatniemi ziemię, z której ziała potworna pustka. Kładły się zwolna na zgłiszcza spalonych chat ubogich i obsypywały ciemne lasy nadwiślańskie. Śnieg przykrywał mogiły, wyrwy i wzgórza. Bieleł gromady ponurych jeńców siedzących na drogach, pod kościołem i na kłodach opalonego drzewa. Ścielił łoża nowym trupom zmarłych ludzi z wycieńczenia lub na cholerę.

*

Późnym wieczorem jeńcy przybyli do Puław. Przez wąski drewniany most na Wiśle, zbudowany w czasie wojny dostali się na drugi brzeg rzeki i odpoczęli na barłogach słomy w prywatnych domach, przydzielonych im przez komendanta etapu.

Rano odprowadzono ich na dworzec i odwieziono w głąb Rosji, daleko od walk i wojny. Oficerów umieszczono w przedziałach drugiej klasy.

Ze wszystkich dziur miękkich kanap wylażyło mrowie wszy wgryzających się w ciała sponiewieranych ludzi.

Jeniec oblewał się naftą, wywieszał ubranie i bieliznę na mróz za okna, gniótł owady od

rana do wieczora lub palił na ogniu, nic to wszystko jednak nie pomagało. Owady nie dały spać i nie dały odpoczywać. Chorego i zdenerwowanego jeńca cięły bezustannie wprawiając w jeszcze większe zdenerwowanie. Często przytem przenosiły bakcyle tyfusowe i dopomagały do zniszczenia młodego organizmu z takim trudem wydartego świszczącym pociskom.

V.

Pociąg kołysał się na szerokich torach i wioził jeńców po bezbrzeżnych zdawało się równinach europejskiej Rosji.

Za oknami wozów przesuwały się obrazy monotonne, niemniej jednak interesujące i piękne. Olbrzymie odwieczne drzewa wśród głębokich lasów, potoki przedzierające się jarami, gromady niskich krzaków, zarośla i łąki.

Pociąg przecinał puste pola, wspinał się po wzgórkach, omijał całe obszary ściętych wysoko niedbale sosen, wśród których, jak pomniki pomiędzy szaremi słupami stały rzadko rozstawione śnieżno białe brzozy. Od czasu do czasu ukazywała się wioska, uboga, cicha, bez żadnego drzewa. Nad kominkami chałup płą-

tały się słabe dymy, świadczące, że tam żyje człowiek i na swój sposób boryka się z losem.

Mińsk — Smoleńsk — Spassdemenskoje — Cieplajewo. Pociąg szumiał i charkotał. Znikały jedne osiedla, ukazywały się drugie.

W Mińsku wypuszczono pierwszy raz jeńców po kariatok.¹ Dużo przytem wymawiano o dobroci i litości względem wrogów. W Smoleńsku dano nawet ciepłej kaszy z dworcowej kuchni zbudowanej dla rannych i chorych. Z ludnością cywilną nie pozwolono się stykać. Zresztą i człowiek tutejszy niewiele się jeńcem zajmował. Przychodził wprawdzie w większych gromadach na dworzec kolejowy lub ubrany w ogromną szubę² przepasaną barwną taśmą stał opodal przy swoich telegach,³ nie odzywał się atoli i o nic nie pytał. Wrzucał monotonnie do ust ziarnka słoneczników, szybko wygryzał z łupek i łupki wypluwał wokół siebie.

Przejeżdżały obok niego rozmaite wojska z dalekich stron Rosji. Wieziono jeńców różnej narodowości z całej prawie środkowej Europy. Na platformach pociągów tłukły się

¹ wrzątek.

² kozuch.

³ wozach.

armaty, których niejeden z nich nigdy nie widział. Niczemu się nie dziwił. Patrzył, jakby to już niejednokrotnie oglądał. Nie przejmował się również widokiem rannych swych współbratymców, wracających z walk na obcej już ziemi.

*

Pociąg przejeżdżał przez okolice wyglądem swym pewnie niezmienione od tysięcy lat. Suchynicze — Garbaczewo — Pomarjewo — Babulin — Tiepłoje — Skopin.

W Skopinie¹ ćwiczone pod nasypem kolejowym nowobrańców¹ do wojny. Pokazywano im jeńców jadących pociągiem i odsądzano ich od czci i wiary.

— Ot sukinsyny, — wołano — braci naszych mordują. Hej tam, zatrzymaj pociąg, daj nam tych łotrów! Poco wieziesz tych krwiożerczych bandytów.

I podniosły się pięści młodych ludzi przeciw maszyniście, który nie spełniał ich życzeń i nie odstawił jeńców, uważanych przez nowobrańców, za najodpowiedniejszy przedmiot do krwawego zaprawienia się do przyszłych bojów.

¹ młodych rekrutów.

Tak już zresztą jest od wieków. Człowiek szuka ofiar, którymi pogardza. Czemże mógł być dla podjudzonego młodego nowobrańca, jeńiec? Czarnym djabłem, w którego brzuchu należało nóż utopić, gdy nowobrańcowi się źle powodziło, a ofiarą, z której można się było naśmiewać, gdy nowobraniec był syty i nikt go do przykrych trudów życia nie poganiał.

*

Przez Rjask przywieziono jeńców do Penzy.

Do pociągu podeszły kobiety penzeńskie i rzuciły kwiaty. Obdarowywały jeńców łakociami i pieniędzmi.

Obok stanął rosyjski pociąg sanitarny przepełniony rannymi współbratymcami. Żadna z kobiet obecnych tam nie zagładnęła. Wszystkie w oczach niecodziennych oficerów i żołnierzy wracających z krwawych walk szukały zaspokojenia swej ciekawości i pragnień.

— Wot krasiwyj¹ germaniec! Wot sławnyj² madjar, wot horoszyj³ junosza⁴ — pokazywały.

Nie istniała dla nich w tej chwili żadna wojna. Nie było wrogów i nie było jeńców. Stali

¹ piękny; ² ładny; ³ dosłownie dobry, tu urodziwy;

⁴ młodziak.

przed nimi młodzi mężczyźni z aureolą zwycięstw, samcy wobec nienasyconych samic.

Daremnie konwojenci odpychali je od wozów, daremnie zwracali uwagę, że ich miejsce, tam w wagonach szpitalnych, a nie przy pociągu wrogów Rosji. Kobiety nie ustępowały. Wlekły się wzdłuż wagonów, aż pociąg zjechał ze stacji.

*

Z Penzy przez Kemadej, Syzrań przyjechali jeńcy po jakimś czasie ku brzegom potężnej rzeki Wołgi... Była już północ, gdy pociąg wjechał na długi most, nad rzekę. Ciemne wody leniwie posuwające się jęczały w olbrzymim łożysku, po bokach pokrytem lodem i poroślem gęstem sitowiem.

Jeńcy mimo zakazu wartowników rzucili się ku oknom wozów. Patrzyli w szeroką taflę wody mieniającej się w blaskach księżycowego światła.

Wołga szumiała i huczała.

Przemknęły lata, przemknęły wieki. Ileż to ludzkość rzuciła męczenników na stosy ofiarne niewiedomo za czyje przewinienia? Iluż umęczonym przez siebie następnie postawiła pomniki? Jakież mrowie narodów przesunęło się nad samymi brzegami tej wielkiej rzeki? Iluż

ludzi znalazło śmierć w jej głębokich wodach? Tędy wszak przeprowiały się kiedyś narody z dalekich stron Azji do Europy. Tułał się tutaj przed wiekami człowiek, chcący znaleźć raj na ziemi w Europie. Tu stanął wreszcie obecny tułacz wojenny gnany tym razem przeznaczeniem z Europy wojującej do spokojnej jeszcze Azji. Szmer sitowia i nadbrzeżnych wysokich traw zlewał się z szumem wody w dziwną melodję przywodzącą wspomnienia odległych lat i narodów, których potomkowie dziś jeszcze zamieszkują nadwołżański kraj.

Nie jeden z jeńców przebiegł myślą zawrotne czasy przeszłości i w pleśni wieków odgrzebał to, co obecnie nad wodami tej rzeki przykuło jego uwagę. Wsłuchiwał się w szum i patrzył...

A gdy pociąg dysząc opuszczał długi most, jeniec ocknął się z zadumy i zanucił pieśń powszechnie tu śpiewaną:

Wołga, Wołga, matj rodnaja

Wołga sławnaja rieka...

VI.

Za Wołgą w większych miastach spotykali jeńcy różnych ludzi zjeżdżających z okolic zamieszkałych przez Tatarów, Wotjaków,

Czeremisów, z nad brzegów rzeki Uralu i z gór oddzielających Europę od Azji. Tata-
rzy w jarmułkach, orenburscy kozacy, Baszki-
rzy, Mordwini i Kirgizi koczujący na stepach
małej hordy kirgiskiej.

Przedstawiciele tych narodów oglądali jeńcy
począwszy od Samary przez Bugurusłan, Bele-
bej, Szungak-kuł do ziemi już prawie wyłącz-
nie zamieszkałej przez Baszkirów.

W Ufie „gorodzie“¹ Tatarów, na dworcu
otoczyły jeńców gromady tubylczej ludności.
Dziwni ci ludzie pchali się za nimi do jadło-
dajni dworcowej. Ustawiali się za plecami je-
den obok drugiego. Nic nie mówili i o nic nie
pytali. Stali, jak gromady rosyjskich muży-
ków² spotykanych daleko jeszcze przed Woł-
gą. A przecież nie byli to Rosjanie i nie byli
mużycy. Wtłaczali tylko w jeńców wzrok, jak-
gdyby czekając, aż przyjdzie ktoś, komu oni
uwierzą i kto im zagadki życia ludzkiego roz-
jaśni.

*

W dalszej podróży zbliżono się ku góróm.

Ukazały się najpierw wzgórza, a następnie
szczyty i wierchy łagodne lub dzikie, ponure.

¹ grodzie.

² wieśniaków.

Stoki gór obrastały stare potężne drzewa o szerokich konarach podszyte wysoką trawą. Na skłonach pasm górskich i w dolinach rozsiadły się ludzkie osiedla, skromne i mizerne. Zdaleka od gwarneho świata wiodły życie odrębne, niejednokrotnie różniące się już jaskrawie od życia najbliższej osady. Rozłożone w czarownych leśnych ustroniach przyciągały do siebie człowieka szukającego ciszy i wytchnienia.

Noc właśnie zapadła i niebo zaświeciło bezmiarem gwiazd, gdy jeńcy przyjechali do miasta Złatouściami zwanego, rozłożonego wśród drzew. Śnieg zwisał z konarów sosen i tworzył zakątki fantastyczne, jak w bajce. Tatarki donosiły do wozów kobyłego mleka w glinianych garnuszkach, a Tatarzy łamanym rosyjskim językiem opowiadali o życiu tutejszych ludzi.

A tam za lasami i górami leżał kraj, o którym każdy z jeńców miał, jak najbardziej dziwaczne pojęcia i wyobrażenia:

SYBERJA.

Nazwa ta wzbudzała u wszystkich jeńców nieopisaną ciekawość zobaczenia ziemi z rzad-

kiemi osadami ludzkimi ginącemi wśród tajg, tundr i niezmierzonych stepów. Przywiedzono sobie w pamięci wszystkie wiadomości, jakie każdy miał o tym wielkim kraju. Opowiadano o zorzy polarnej, o pięknych reniferach żyjących na ziemiach mchem porośłych i o ludziach spędzających swe nędzne życie w norach śnieżnych. Mówiono o olbrzymich rybnych rzekach, o dziwnych zjawiskach przyrody, a przede wszystkim o wielkim mrozie syberyjskim, który przerażał zawczasu.

W szczególnem podnieceniu zbliżali się do granic Europy i Azji, Polacy. Wszak miejsca te przypominały im trakty wędrówek ich ojców, gnanych tu do ciężkich robót na Urału, do najbliższych osad za Uralem, do dalekiej ziemi Jakutów, nad brzegi potężnego Jenisieju i równie dużej Leny.

W przeciwieństwie do jeńców innych narodowości łączył ich z tą ziemią sentyment. Ziemia ta, acz nieznana nie wydawała się obcą.

*

Przejechali Ural i znaleźli się w mieście Czeljabińsku, w drugiej części świata. Mróz dokuczał, że trudno już było we wozach wytrzymać. Jeńcy wrzucali bez przerwy drzewo

do piecyków i dreptali nogami po podłodze wagonu. Czas skracali sobie wypytywaniem się konwojentów Tatarów o sposobie ich życia.

— Ot sława Bogu — mówił śmielszy Tatar — z głodu nam umierać nie trzeba. Są jednak w Rosji tacy, którzy z głodu umierają.

— Więc o cudzą ziemię się bijecie — przerwał jeniec.

— Broń Boże! Ziemi w Rosji dosyć i wojny nam nie trzeba. Nie trzeba nam obcych krajów.

— Dlaczegoż więc walczyacie na frontach?

— Czart wie. Car nakazał wojować. Wiedocznie tak być musi.

VII.

W Kurganie, najbliższym mieście syberyjskim jeńców zatrzymano. Węgrów i Niemców odesłano po jakimś czasie dalej na wschód, a Słowian odprowadzono do miasta.

Była już grudniowa zima dojmująco przykra, ale piękna. Przestronnymi ulicami i pereułkami¹ mknęły sanki zaprzężone w dwójki lub trójki zwinnych syberyjskich koników.

¹ przecznice.

Konie potrząsały łbami i głośno parskaly wśród tysięcy dzwonek dźwięczących od rana do wieczora po całym mieście. Sanki przesuwaly się między drewnianymi willami zbudowanymi z okraglaków. Nieliczne murywane budynki nie byly w stanie zmienić wyglądu oryginalnej ulicy syberyjskiego „gorodu“.

W Kurganie nikt się jeszcze daleką wojną nie przejmował. Życie płynęło dawnym trybem, a każdy tutejszy mieszkaniec na jeńców patrzył, jak na cyganów lub kirgizów schodzących na jakiś czas do osad. Czasem z ciekawości zaglądnął do baraku lub do tak zwanej „czajni“,¹ gdzie pomieszczono oficerów jeńców, obserwował ich życie, a następnie odszedł zadowolony, iż wśród tych ludzi nie musi przebywać.

Jeńcy atoli po krótkim czasie osady nie opuszczali. Co więcej przychodziły coraz to nowe gromady. Coraz większa liczba ukazywała się ich na ulicach i bazarach, coraz gęściej plątali się na publicznych miejscach. Musieli wreszcie zainteresować sobą mieszkańców osady i musieli na otoczenie wyrzucić

¹ herbaciarnia.

wpływ. A że upadli nisko i nienawiścią wypełniali dni swego życia, nienawiścią też zatruli tutejsze syberyjskie sielanki.

Władze tutejsze rozsyłały ich do osad rozrzuconych na szerokim stepie. Na wschód, na zachód i na południe.

Jeńcy chętnie tam szli. Uciekali z dusznych i zimnych baraków. Zdawało im się, że właśnie tam, wśród pustych pól, daleko od świata zapomną o wszystkim i wśród dzikiej przyrody innemi oczyma przejrzą w życie.

Na step też wyjechał jeńiec, który tu dowędrował z Wierzbki. W otoczeniu straży rosyjskiej, kilkudziesięciu młodych Serbów i kilkunastu Czechów opuścił Kurgan w ostatnie dni roku.

*

Za oknami pociągu wiozącego z Kurganu dwudziestą rotę jeńców, skrzyło się w uściskach mrozu, morze śniegów, nieskończone. Na horyzoncie tu i tam majaczyły maleńkie laski, które następnie znikwały niespostrzeżenie. Pociąg tłukł się wśród niezmaconej niczem ciszy na tej białej pustyni. Przed małą stacją zasypaną do połowy śniegiem, daleko już od Kurganu, wysadzono jeńców.

— Konowałowo, Konowałowo! — krzy-
czeli kolejarze, jakgdyby krzykiem tym oży-
wić chcieli choć raz na dzień „razjezd“¹ cały
i przypomnieć sobie, że przecież i wśród nie-
przebytych śniegów człowiek żyje.

Jeńcy pobiegli wbrew zakazowi konwojen-
tów na „razjezd“. A gdy w małej stacyjce po-
mieścić się nie mogli, zawrócili do stojących
jeszcze wozów. Chronili się przed mrozem.
Wygnano ich atoli napowrót. Cóż mieli ro-
bić? Poobwijali głowy szmatami, jakie przy so-
bie mieli i weszli w step.

Nie tak łatwo atoli poradzić sobie ze sybe-
ryjskim mrozem, dochodzącym w tych stro-
nach nierzadko do 40 stopni Réamura poniżej
zera.

— Zginiemy, nie dojdziemy do osady —
powtarzali. Lepiej było pozostać w barakach
w Kurganie.

— Eh niczewo² — mruczał kapral rosyj-
ski, komendant konwojentów. — Dziś powie-
trze czyste, spokojne. Bywa ale czasem wiatr
mroźny i buran³ zasypuje świat. Oj wtedy
nie daj Bóg. Ginać trzeba i koniec.

¹ przystanek.

² nic to.

³ śnieżna zamieć.

Głędzenie kaprała na nic się atoli nie przydało. Jeńcy nieprzyzwyczajeni do takich mrozów i nieodpowiednio ubrani, marzli. Bieleły uszy, nosy i twarze. Niektórzy wreszcie słabli i zostawali. Tu, daleko od zgiełku ludzkiego wśród pustych stepów znaleźli śmierć.

Większość doszła do osady Małe Kriwin-skoje.

*

Mieszkańcy wioski pochowali się przeważnie do chat, a tylko śmielsi wyglądali z za wrót.

Wszyscy byli przygotowani, że zobaczą ludzi okrutnych, o zwierzęcym niemal wyrazie twarzy, mordujących w sposób wyrafinowany na dalekich ziemiach Europy ich współziomków z rozkazu krwawego kajzera. A tymczasem ujrzeli młodych chłopaków nierzadko urodziwych z odmrożonemi nosami, uszami, szukających w ich domach ratunku przed mrozem. Tak, przed zwykłym mrozem.

Ośłupieli.

Jakżeto? „Naród kajzerów“ nie może poradzić sobie z mrozem?

Mieszkaniec osady syberyjskiej odciętej od

świata począł wątpić w to wszystko, co sobie o wrogach Rosji w wyobraźni własnej wytworzył. Wojnę pojmował, jako obronę spokojnych ludzi przeciw potworom w ludzkich ciałach chcących za wszelką cenę przeciwników pożreć. A oto zobaczył tych wrogów. Oglądnął ich ze wszystkich stron uważnie. We własnej chacie z nimi się rozmówił.

— Ludzie jak i my — mimowoli do otaczającej go swej rodziny szepnął. Naród czysty i „horoszyj“. ¹ Pocóż z nimi wojować?

*

Do Wielkiego Kriwinskoje, właściwego miejsca zakwaterowania, odwieziono jeńców na sankach. Sanki szybko ruszyły przez wieś. Mijały znowu domki drewniane zbudowane z okraglaków. Przejeżdżały obok wysokich wrót zdobionych na różny sposób przez domorosłych „płatników“. ² Znalazły się wkońcu za wsią przy dwóch wielkich zamarniętych obecnie jeziorach.

Konie przebiegły rącho obok brzoźowego lasku, wspięły się na śnieżne wzgórza i zje-

¹ piękny.

² cieśli.

chały nagle ku gromadzkiemu ambarowi,¹ gdzie władze składały zboże na głodne lata. Od ambaru skręciły na lewo i stanęły przed budynkiem wołości.²

Odmrożonego oficera wyciągnięto ze sanek i na czyjeś polecenie nacierano śniegiem.

— Niewiele brakowało, a byłby gotów — ktoś zagadał. Hm, jakież słaby naród. I porwał się do wojny z matuszką Rosją.

*

Na wieść o przyjeździe jeńców zbierało się coraz więcej ludzi pod „wołością“. Wszyscy chcieli ich oglądać. Pchali się za nimi do środka budynku, wyłazili na schody. Każdego prawie jeńca otaczali kołem. Chcieli pytać, nie wiedzieli jednak, jak zacząć i co właściwie powiedzieć. Zakłopotani odgarniali bez przerwy długie włosy spadające na ramiona, lub szarpali brody.

— Da razwie³ wy... zaczynali.

A kiedy wreszcie sami jeńcy rozgrzawszy się nieco, wdali się z nimi w rozmowę, mężczyźni przestali szarpać brody. Ręce wsadzili za

¹ śpichlerz.

² obwód obejmujący kilkanaście wsi, tu budynek.

³ więc czyż.

zwoje różnokolorowych taśm opasujących szuby i półszubki i słuchali.

— Wot¹ wymowny naród — zwracali sobie uwagę. Gdzież nam im sprostać?

Za muzykami wciskały się miejscowe kobiety. I one chciały swą ciekawość zaspokoić. Ustawily się pod ścianami izb i dużej sieni; przyglądały się temu i owemu, szeptem podawały sobie spostrzeżenia, a następnie w większej grupie otaczały jeńca, który im się wydał bardziej dorodnym. Wstydliwie uśmiechnięte czekały, jakgdyby zaczepki od „awstryjca“, który stał się naraz człowiekiem niecodziennym.

— Nu wybieraj robotników Iwan Jefimowicz — zwrócił się nagle pisarz wołoci. Wszak car posłał wam jeńców do roboty.

Ale Iwan Jefimowicz, podejrzliwie przysłuchujący się pochwałom wygłaszany przez muzyków pod adresem jeńców, nie nabrał jakoś do nich przekonania.

— Człowiek nie zwierz — powtarzał. Zmienia swą skórę, jak mu potrzeba. Był ja w wojnie japońskiej i widziałem wiele. Cóż z tego, że urodziwy, młody, że zewnętrznym wyglądem pociąga. Co on myśli, kto tam wie?

¹ oto.

Może i porządny człowiek, a może podpalacz lub morderca.

Mużycy tymczasem wybrali sobie pracowników przyznających się bez skrępowań do znajomości wszystkich zawodów i rzemiosł. Prowadzili ich z zadowoleniem do swoich chat, a za nimi postępowały gromady roześmianych kobiet przyglądających się postawie swych robotników i podziwiających z lubością, nasadzone z fantazją na głowach młodych Serbów, fezy¹ bośniackie.

VIII.

Budynek wołości wnet opustoszał.

Na wysokich stopniach przed drzwiami wchodowymi stał jeszcze oficer. Patrzył na wieś syberyjską i na olbrzymie za nią rozciągające się jezioro.

Za chwilę miał wejść do jednego z domków tej wsi, by dłuższy czas żyć razem z ludźmi pojmującymi życie prosto, w sposób nieskomplikowany, a patrzącymi na jego zjawiska jak patrzy głodne lub syte zwierzę. W zacisznym zakątku syberyjskim miał zamyśleć się nad tem, co go otaczało, nad tem, co prze-

¹ czapki tureckie.

szło i wniknąć w nieznana przyszłość. Tu, los dał mu czas do zastanowienia się nad wszystkimi troskami ludzkości, by dalej się w sprzecznościach ludzkich kłopotów pogmatwać.

Obok stał policyjny uriadnik¹ rosyjski taki sam, jak go kiedyś w swej wczesnej młodości oglądał na obrazku. Małe oczka, zadarty nieco w górę nos, wąs duży, błyszczące policzki. Z twarzy jego biło zadowolenie, że życie obdarzyło go władzą nad muzykami, dało mu dobrobyt i wódkę.

Uriadnik zbliżył się do zamyślnego jeńca i rzekł:

— Nu zejǳcie z tych schodów. Pójdziemy do zagrody miejscowego kupca Jeżowa. Tam wam z rozkazu pułkownika przygotowałem kwaterę. Szybko, a to nogi przymarzną wam do ziemi.

Poszli...

Przed domkiem obok bogato ozdobionych wrót stał kupiec w tatarskiej mycce² na głowie. Kłaniał się przybyłym gościom i zapraszał do siebie.

W izbie, do której niebawem wszyscy we-

¹ najniższy stopień oficera policyjnego.

² czapce.

szli, syczał na stole wielki samowar, a na misce leżało świeżo ugotowane młode prosię.

— Wot wam oficer z Kurganu — odezwał się pierwszy uriadnik, przedstawiając w ten sposób zebranym, jeńca. Da, z Kurganu, z Kurganu — powtarzał.

Długi widelec raz za razem wbijał do prosięcia, targając je w kawały. Oderwane kaski wrzucał spiesźnie do ust i rozglądał się za dalszemi potrawami.

— Kuszajcie zdrowo¹ — zapraszał bezustanku kupiec.

Uriadnik mlaskał, oblizywał się, a w końcu zwrócił się do pijącego czaj jeńca:

— No, cóż u was porządki inne, co?

— Inne — odrzekł niedbale jeniec.

— A u nas także inne, cha, cha. U nas także inne i tak jest dobrze.

Nalał sobie tutejszym zwyczajem z filiżanki herbaty na podstawkę, oblizywał podaną mu kostkę cukru i dalej pytał:

— Nasi zwyciężają waszych. Kraków wnet padnie. Pójdziemy na stolicę Austrii i rozbijemy państwo.

Jeniec nic nie odpowiadał.

— Interesująca musi być walka pod twier-

¹ jedźcie zdrowo.

dzami. Z jednej strony wałą armaty, z drugiej idą masy wojsk do ataku.

— Idźcie na front, to zobaczycie.

— Na front? Dlaczegoż ja mam iść na front, kiedy tutaj jestem potrzebny.

— Będziecie świadkiem zdobywania twierdzy — podkreślił jeniec.

Uriadnik odsapnął. Nalał sobie znowu czaju.

Jeniec tymczasem odsunął się ku oknu.

Patrzył na uliczkę wiejską.

Śnieg opadał na dachy domków, parkany i wrota. Obsypywał węgły chat i prószył bez końca.

— Tak samo — pomyślał — jak przed latami, gdy jako młody chłopak przy oknie siedziałem nad otwartą książką, z której się miałem nauczyć mądrości życia. Tak samo śnieg prószył. Białe czyste płatki śniegu latały w powietrzu jedno za drugimi. Taka sama była na dworze cisza. W innej tylko byłem części świata i w innych warunkach życia. Zdawało mi się, że wystarczy przyswoić sobie piękne zasady wyławiane wzrokiem z kart otwartej książki, a życie człowieka popłynie tak, jak płyną białe płatki śniegu za oknem, nieskalane i czyste. Czemuż mi się dzisiaj tak

nie zdaje? Czemuż życie książki mądrości ludzkiej zawałało błotem? Prędzej może dźwignąłbym się z upadku, prędzej znalazłbym siły do przezwyciężenia własnych zwątpień.

— Cóż zima — zagadnął kupiec zauważwszy, że jeniec uporczywie przygląda się śniegom. U was takiej zimy napewno niema.

— Tak rzeczywiście u nas zimy bez porównania słabsze — odpowiedział jeniec.

— Uu zima to u nas zima — wykrzykiwał uriadnik, zadowolony, że teraz może czemś jeńcowi zaimponować. Na takich terenach, przegralibyście wojnę już dawno bez wielkich naszych strat.

— Kuszajcie, kuszajcie — prosił znowu uriadnika kupiec, niezadowolony z wojennej dyskusji.

— Eh dosyć, dosyć spasibo¹ — dziękował uriadnik zły, że mu kupiec przerywał rozmowę. Czas mi już do domu.

To mówiąc, pożegnał się i odszedł. Kupiec kłaniał się znowu, przeproszał, odprowadzał do wrót i żegnał.

A gdy uriadnik znikł już za innemi domostwami, rzekł:

¹ dziękuję.

— Ot sukinsyn i bolsze niczewo.¹ Eh żeby rewolucja.

— Rewolucja? — podchwycił jeniec.

— Cicho, sza, ot tak mi się tylko wyrwało.

Usiadł następnie przy stole, przypatrywał się jeńcowi i myślał ile na nim zarobi.

Jeniec zaś rozglądał się po izbie.

W jednym kącie pod sufitem sterczały ikony² św. Mikołaja Cudotwórcy, przed którym zrana i wieczorem kłaniali się mieszkańcy, robiąc niezliczoną ilość znaków Krzyża św. Na podłodze rozciągnięto już kosmy,³ na których rodzina kupca co noc układała się na spoczynek.

— Nu, ...n'das, gdzie was to wojna zagnała — odezwał się znowu niespokojny kupiec. Czy pomyśleliście kiedy, że wśród głuchych syberyjskich stepów będziecie pić czaj z muzykami w Kriwinkoje?

IX.

Jeniec udał się do drugiej izby na nocleg. Ułożył się na twardej ławce pod piecem, spać atoli nie mógł. Myśli jego zawracały bezustanku

¹ więcej nic.

² obrazy.

³ wojłoki.

ku miejscom dalekim nad San, nad Wisłę, w góry Świętokrzyskie i na borzechowskie piaski. Zdawało mu się, że obstepują go widma ludzkie potworne z wypadającymi z jamy brzusznej wnętrznościami, z urwanymi szczękami, bez nóg, bez rąk, ślepe. Coraz bliżej, coraz bliżej. Przewalają się przez okna syberyjskiego domku na podłogę, zmiażdżone, cuchnące potem ludzkim i wyziewem bryzgającej krwi. Rozpoznaje w nich niedawnych towarzyszy broni. Widzi twarze okropne, widma we wiecznej ucieczce.

Zerwał się z przerażenia. Usiadł na ławce.

— To przykre — westchnął.

Zdawało mu się, że we drzwiach izby stanął człowiek. Skrwawiony bagnet obcierał i płakał.

Jeniec zaświecił nerwowo lampę.

W izbie nie było nikogo.

— A to znowu złudzenie — szepnął z ulgą. Chory widocznie jestem i majacze. Czemuż jednak tak się przeraziłem? Czemuż widma pomordowanych ludzi są tak straszniemi zdaleka? Czyż zejście człowieka z tego świata w normalnych warunkach często nie jest jeszcze cięższem?

Ułożył się znowu do odpoczynku i głęboko

oddychał. Zdawało mu się, że wrócił dopiero z zażartej walki o zdobycie okopów.

.
Mijały godziny za godzinami.

.
A gdy zaczął się robić dzień, poruszyli się mieszkańcy domu. Kłaniali się kolejno przed św. Mikołajem Cudotwórcą, obmywali twarze pod rukomojką¹ i kręcili się około swych codziennych zajęć.

Rozkołysały się dzwony w miejscowej cerkwi na sławę Boga prawosławnego.

Jeniec wyciągnął ręce i westchnął:

— O życie ludzkie pełne tych samych żądz i ofiar. Coraz to nowe stworzenie wplatasz do tego samego koła.

*

Następnie zjadł szybko podane mu przez gospodynię pierogi z rybami i wyszedł na podwórze.

Przy opłotkach pod kiepskim dachem lada-jako skleconym z gałęzi stało bydło na śniegu, trzęsąc się od mrozu i żując bez przerwy zgarnięte ze stogu siano. Nieco bliżej stanowiska

¹ umywalka.

koni drepcących po zmarzniętej ziemi wznosił się murowany ambar do przechowywania ziarna na zimę i do zasiewu. Tuż obok przechylała się w jedną stronę buda drewniana zwana czarną banią, gdzie w każdą sobotę mieszkańcy domu urządzali sobie parową kąpiel, polewając w budzie rozpalone cegły na kamiennym piecu.

Jeniec przypatrywał się zagrodzie, trzęsącemu się bydłu i poszedł przez wieś w kierunku stepu.

Tuż przed ostatnią lepianką zastąpił mu drogę muzyk i pytał:

— Słyszałem od miejscowych, żeście Polak czy to prawda?

— Tak — odrzekł jeniec.

— Ja także Polak. Przybyłem tu przed laty z moim ojcem jako mały chłopak i tu się wychowałem. Jakież to dla mnie odległe czasy, a przecież nie było to tak dawno. Przypominam sobie pierwsze dni mego pobytu w tych stronach. Przerażał mnie step i trwogą przepełniało tutejsze życie. Dniami i nocami tęskniłem za ziemią, z której wygnano mego ojca. Setki wiorst jeździłem z nim razem po tych wielkich stepach, by odszukać Polaka i tęsknotą się podzielić. Ojciec mój był powstańcem.

O powrocie do kraju marzyć nie mógł. Rok za rokiem płynął. Życ jakoś trzeba było. Ożeniłem się z Rosjanką. Syn mój wychował się już w tutejszych zwyczajach i obyczajach. Z matką i rówieśnikami rozmawiał po rosyjsku. Moje wspomnienia były dlań bajką, w którą wierzył lub nie wierzył zależnie od tego, w jakiej mu podawałem formie. Cóż miałem robić? Nauczyłem go po polsku modlitwy „Zdrowaś Marjo“, a resztę Bóg wybaczy.

Syn powstańca zamyślił się.

Po chwili tak dalej mówił:

— Po tylu latach widzę Polaka z ziemi ojczystej. Na widok wasz powracają dawne me przeżycia z taką wyrazistością, jakgdyby dopiero wczoraj upłynęły. Wstąpcie do mnie na chwilę. Nie zobaczycie polskiej chaty, rodzina moja będzie dla was obcą, ale ja będę się cieszył za wszystkich. Bo tak. Dziećmi jesteśmy tej samej ziemi. I między tutejszym ludem jak wszędzie zresztą wielu jest dobrych i zacnych współtowarzyszów życia. Jakieś jednak głębokie przywiązanie łączy każdego z nas z tymi, wśród których się w jednakich obyczajach i jednakiej tradycji wychowaliśmy. Nieprzewyciężona tęsknota każe zawracać myślom do tych okolic na ziemi naszej, gdzie

ta sama mowa, ten sam śpiew i ta sama muzyka rozbrzmiewa, jaka rozbrzmiewała, gdy człowiek w młodości swej uczył się poznawania życia.

Jeniec wszedł do chaty rozrzuwnionego starca. Przywitał się z rodziną jego i usiadł na wskazanem miejscu.

Wnętrze chaty nie różniło się niczem od takich samych chat rosyjskich krestjan.¹ Obok obrazu św. Mikołaja wisiał tylko na ścianie mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, zakurzony pyłem.

— To pamiątka po ojcu no i po swoich — objaśniał starzec, zauważywszy, iż jeniec uporczywie wpatruje się we wizerunek. — Każę go włożyć po mej śmierci do trumny.

— A nie zostawicie synowi? — pytał jeniec.

— Nie, nie, zabiorę go ze sobą. Tak już postanowiłem.

Po jakimś czasie jeniec pożegnał się i wyszedł. Z uliczki oglądnął się na chatę. Zdawało mu się, iż widzi w oknie starca wpatzonego w bezkresną dal, starającego się powiązać nici z dawnem życiem stargane.

¹ chrześcijan tu wieśniaków.

X.

Gdy wrócił do domku kupca, zastał gromadkę ciekawych ludzi. Czekali, by mu się napatrzeć. „Co mówi, jak je i co mu smakuje“. „Przecież to człowiek z dalekich stron świata“. Starcy oparli się o ciepły okrągły piec, a kobiety ustawiły się przy ścianach. Żona kupca wychwaliwszy się wobec wszystkich, iż była kucharką u generał-gubernatora w Omsku, postawiła na stole przed jeńcem okopcony kociołek z ugotowaną kurą, której pazury wylażyły wysoko ponad brzegi naczynia. Ojciec kupca starzec z długą białą brodą zlaźł z pałaty¹ za piecem, gdzie zwykle do snu się układał i na zapytanie jeńca, jak tu ludzie żyją, tak zaczął opowiadać:

— Ziemi jak widzisz mnogo. Ledwie drobną część zdołamy uprawić, a reszta to odwieczny step, gdzie pasą się tabuny dzikich koni, gdzie kirgiz i cygan koczuje w swych namiotach. W dobre lata ambary pełne ziarna, a na stepie mnóstwo kóp siana i słomy. Zboża nikt nie chce kupić, a siano i słomę pozostałe z zimy palimy z wiosną na stepie, jako niepotrzebne. Nie tak dawno jeszcze Grigorij Pro-

¹ legowisko z desek za piecem.

kopowicz zaprzęgnął trzydzieści sanek jedno-konnych i pojechał ze ziarnem do Makuszyna. A gdy nie sprzedał, rozsypał po stepie, by ko-niom lżej było wracać. Wokoło nas, jak wi-dzisz, wielkie jeziora, pełne ryb i latem oży-wione krzykiem ptactwa różnego rodzaju.

— A czy zawsze są dobre lata? — przerwał jeniec.

— O nie, nie — narzekali prawie wszy-scy. — Są lata suche, nieurodzajne. Trawa wy-sycha. Zboże nie rośnie. Bieda wtedy, czysta bieda.

— A czemu nie budujecie stodół, nie gro-madzicie zboża, siana i słomy na lata głodowe? Czemu nie uczycie się zapobiegliwości? Czemu nie gospodarujecie tak, jak to dawno już ro-bią w Europie?

Mużycy umilkli.

Po chwili odezwał się jeden:

— Nic nie poradzisz. U was to druga rzecz. Tu naród inny i kraj inny.

*

Znużeni mężczyźni wreszcie rozeszli się do swych chat. Jeniec pozostał sam. Odetchnął. Niedługo atoli to trwało. Mieszkańcy tutejsi mieli czasu dosyć. Przychodzili więc znowu na

drugi dzień i bez przerwy o to samo prawie pytali. Żadną odpowiedzią jeńca jednak się nie przejmowali i niczemu nie wierzyli.

A kiedy już dostatecznie oswoili się z przysłanymi im „awstryjcami“ poczęli wnosić na nich „żałoby“¹ do wszystkich miejscowych władz.

Kapral rosyjski spisywał ich bóle na „bumagę“ i wzywał oficera jeńca, by o tem pisał raport na żołnierzy do pułkownika w Kurganie.

Jeniec odmawiał. Tłumaczył, że to plotki, że wreszcie nie do niego należy wysyłanie raportów.

Kapral nie chciał ustąpić. Groził tiurmami² i czużówkami,³ a następnie krzyczał:

— Sam pojedę do Kurganu. Doniosę o wszystkim, co na was mężczy mówią. Pamiętajcie żeście jeńcami wojennymi! Nie macie żadnych praw. Rosja żywi was z łaski i z łaski pozostawia przy życiu!

*

Do jeńca przybył również jeden z miejscowych popów, który skończył seminarjum du-

¹ zażalenia.

² więzienia; ³ areszty wiejskie.

chowne w Petrogradzie. Przyniósł gazety rosyjskie i podniecony nowymi wiadomościami donosił:

— Wot nasi waszych „zdorowo“¹ pogнали na Karpaty. Niedługo na Węgrzech pohulamy.

Bujne włosy i długie opadały mu na ramionach raz w tę raz w tamtą stronę.

— Sadtieś² — zwracał się do popa jeniec.

Pop dalej jednak opowiadał o zwycięstwach wojsk rosyjskich nad austriackimi, o stratach, o rannych i zabitych. Gestykulował przytem żywo i chodził wokoło stołu po izbie. Wreszcie usiadł.

— Po jednej z wielkich bitew — zaczął teraz jeniec — zastałem pod drzewem w lesie mego młodego przyjaciela wyczerpanego fizycznie i złamanego na duchu zupełnie. Żał mi było chłopaka i pocieszałem go, jak mogłem. Wojna skończy się wnet, wrócimy do innego życia i zapomnimy o tych okropnościach. Na to młody chłopak tak mi odpowiedział: „Człowiek zmęczony walką tęskni za pokojem, znudzony jednak pokojem zawraca do walki. Teraz dopiero zrozumiałem, jak słaby jest i jak

¹ dobrze.

² usiądźcie.

nie może oprzeć się skłonnościom natury ludzkiej, które sam potępia. Nawet ci, którzy na swych sztandarach wypisali bezkompromisowo wieczny pokój, nie mają sił, by sztandar ten utrzymać, gdy rozszaleją namiętności ludzkie“.

— I kapłani Chrystusa niejednokrotnie zapominają o głoszonej nauce — przerwał pop.

— Tak.

— A cóż się stało z waszym przyjacielem?

— Pozostał w lesie. Następnie dowiedziałem się, że zginął. Poległ, gdy wojska austriackie gnały waszych za Wisłę i gdy w Austrii głoszą o szybkim rozgromieniu całej Rosji.

— Rozumiem, rozumiem — powtarzał pop. — Są w życiu chwile, gdy myślami sięgamy daleko. Chcemy się wznieść ponad to wszystko, co nas tu otacza. Szukamy dróg innych. Cóż jednak z tego, kiedy ludźmi jesteśmy, stworzeniami tego świata.

Do izby wszedł psalomszczyk¹ z prikazczykiem² wódczanego handelku i przerwali rozmowę.

Pop nie chciał widocznie wobec nich prowadzić dysputy, pożegnał się i odszedł.

¹ dosłownie: psalmista; ² kupiec.

Prikaczcyk rozgadał się o życiu tutejszych czaudonów¹ i popów.

— Nie wyprowadzą oni — pokazywał ręką za odchodzącym popem — krestjan na drogi wiodące do zbawienia. Muzyk nasz słowom nie wierzy, a przykładowego życia nie widzi. Z wiary muzyka pozostała tylko forma. Bezmyślne pokłony w cerkwi i przed obrazem św. Mikołaja Cudotwórcy. W każdej chacie inne gusła, inne zabobony.

*

Ulatywały dni za dniami. Zima srożyła się coraz bardziej. Mróz gnębił zwierzęta i ludzi. Głodne wilki wdzierały się nocą pod psie strażę i porywały owce. W powietrzu panowała przerażająca cisza. Z domów rzadko wychodził człowiek. A jeśli wyjść musiał, to wdziewał pimy² wysokie, okrywał się długą szubą i wkładał na głowę czapkę z grubego futra.

W domach również przesiadywali jeńcy najmniej do takich mrozów przyzwyczajeni. Przy kipiących samowarach, długimi wieczorami, rozmawiali o tem i o owem z córkami

¹ czaudonami zwią Małorosjanie zamieszkałych na Syberji Rosjan.

² buty specjalne wojłokowe używane w zimie na Syberji.

miejsowych czaudonów. Opowiadali oczywiście o wojnie. Opisywali swoje przeżycia, kraje, jakie przechodzili lub w których wyrosli. Przedstawiali wszystko w groźnych lub barwnych obrazach i znaleźli zainteresowanie.

Zawsze na świecie życie podobnie układa się między ludźmi i zawsze wciąga człowieka do nowych trosk mackami najsilniejszymi.

A czyż nie dość silną jest rozbudzona namiętność płciowa?

Wpatrując się w młodego przystojnego Serba zapominała młoda Rosjanka, że człowiek ten niedawno z karabinem w ręku szedł na front wojennym może na jej własnego brata. Zresztą front ten był tak daleko. Nie widziała walk na własne oczy. A miałaż wszystkiemu wierzyć? Miał-że takim złym człowiekiem być właśnie ten, który jej się spodobał? Nie. Jeniec stawał się znajomym, przyjacielem, ulubionym. Dziewczęta z Kriwinskoje nie były zresztą inne od ich rówieśnic z wielkich miast europejskiej Rosji, obrzucających jeńców buketami kwiatów.

Ustały skargi na jeńców, a kapral rosyjski z zadowoleniem zaznaczał, że nie potrzeba pisać raportu do pułkownika w Kurganie.

XI.

Zima syberyjska jest piękna, ale groźna. Rok w rok prawie z każdej wsi pochłania ofiary w ludziach i zwierzętach. Dzieje się to zwykle wówczas, gdy zerwie się buran i zakurzy śniegiem cały step. Człowiek znajdujący się daleko od wsi traci orientację, a koń biegnący w sankach nie może znaleźć drogi i na te same miejsca zawraca. Słabnie wreszcie, ustaje i nieradko ginie.

W taki czas znalazł się na stepie młody syn miejscowego haziaina¹ i młody jeniec.

Opowiadano we wsi, że w młodym Serbie rozkochana się piękna Aarina, dziewczyna o niepospolitych rysach i że Rosjanin znienawidził jeńca. Roznoszono plotki, że awstrjec wywabił w step Rosjanina i tam go zamordował. Podniecano się niedawną wiadomością, że w Makuszynie dwaj jeńcy porąbali siekierą całą rosyjską rodzinę, u której byli na kwatrze. Nie pomagały wyjaśnienia jakiegoś kupca, że to wymysły. Muzycy wyrzucali jeńców ze swych domostw. Żądali natychmiastowego wystrzelania wrogów.

¹ gospodarza.

Nadobitek złego zapaliła się u jednego z popów czarna bania i ogień jął ogarniać pobliskie dachy.

— Jeńcy puszczają nas z dymem — wołano. — Mordercy, podpalacze! Oto kogo nam do wsi przysłano! Cóż dla nich znaczy życie spokojnych ludzi? Przyczajają się chytrze, umizgają do naszych córek i żon, by łatwiej dokonać niecnego dzieła.

Kapral wystraszony wpadł do izby oficera jeńca, walił ciężkimi butami po podłodze, jak nigdy dotąd i jak nigdy dotąd, krzyczał:

— Eh swołocz! Słyszysz, co się dzieje! Pa-lą! Mordują! Cóż?! Cóż teraz będzie?! Milczysz. Ty taki sam, jak i oni! Chodzisz po wsi i plany zdejmujesz!

— Jakie plany? — oburzał się zaskoczony tym zarzutem jeńiec.

— Nu wiadoma rzecz. Wszyscy już dawno o tem we wsi mówią. Chcesz, by wasze aeroplany zbombardowały wieś!

Jeniec mimowoli się uśmiechnął. Przypomniat sobie, że obchodził często domostwa tu-tejszych mieszkańców, włóczył się po bliskim stepie i teraz dopiero dowiedział się, że ludność z Kriwinskoje przypisuje tym wycieczkom strategiczne znaczenie.

— Śmieję się! Śmieję! — krzyczał kapral. — Niedługo już może, a będziesz wisiał, bo na to zasłużyłeś! Uh, sukinsyny! Wystrzelać was wszystkich lub wrzucić do więzień, byście zdechli i zgnil!

Do izby wszedł pop i przywitał się z jeńcem. Opowiadał, że pożar już ugaszono i dziękował jeńcom za wydatną pomoc.

— Gdyby nie wasi żołnierze, kto wie ileby się we wsi spaliło zabudowań, a wszystko dlatego, że u mnie wskutek niedbalstwa, ściany czarnej bani zapaliły się od pieca.

Kapral słuchał.

— Więc to nie żołnierze nasi zapalili „banię”? — pytał jeńiec.

— Ale cóż znowu — przerywał pop. — Przeciwnie jeńcy gasili ogień z wielkiem poświęceniem.

— We wsi podobno mówią, że żołnierze nasi podpalają wieś i ludzi mordują.

— Kto takie plotki rozsiewa?

Kapral wystąpił nagle na środek izby.

— Więc to... — jękał zakłopotany — nie jeńcy podpalili?

— Oczywiście, że nie. Czyż przychodziłbym jeńcom dziękować?

— Hm, n'das — mruczał bardziej jeszcze

zmieszany kapral. — N'das — powtarzał. — A ja pisałbym zmyślony raport. Doniósłbym, że jeńcy mordują i palą. Pytanoby napewno popa, co o tem sądzi. Pop powiedziałby, że to nieprawda. Hej powędrowałbym na front, powędrowałbym!

Porwał czapkę, którą niedawno jeszcze ze złością na ławkę rzucił i wybiegł. Biegł ku wrotom, gdzie oczekiwała go gromada wzburzonych muzyków, domagających się wystrzelania jeńców.

— Wy tu — krzyknął do zebranych. — Mierzawcy! To wy podpaliliście szopę popa! Wy zamordowaliście jeńca na stepie. Czekaście ja się z wami rozprawię! Doniosę o wszystkim uradnikowi.

Najbliższych, których dopadł, obił pięściami. Dalszych przy wyjściu z bramy odepchnął z całej siły i poszedł.

Muzycy przestraszeni zapomnieli poco tu przyszli. Widzieli tylko przed sobą rozjuszonego kaprała biegnącego do uradnika, by na nich obmyśleć kary.

— Uh bieda — szeptał któryś. — Kapral musi dobrze wszystko wiedzieć, gdyż inaczej nie waliłby nas pięściami po głowie. To my je-

steśmy winni. Myśmy podpalili banie i zamor-
dowali jeńca na stepie.

.

*

I uciszyło się we wsi zupełnie. Plotki ustały.
Na białym czystym śniegu zalany strumie-
niami słonecznych promieni ukazali się znowu
młodzi ludzie razem: Serbowie i Rosjanki. Szli
i nucili dumki o miłości człowieka.

XII.

Coś jednak mimo wszystko, zmieniło się.
Rosyjski muzyk, aczkolwiek przycichł, nie na-
brał już zaufania do jeńca. Lęk jakiś ogarniał
go przed czemś nieuchwytnem, dalekiem. Step
przestał być swojskim. Przemieniał się w oczach
jego, w pustynię. Jeńcy nie byli już tylko zwy-
kłymi robotnikami, czy cyganami wędrujący-
mi po stepie.

I popi miejscowi dotąd zazwyczaj spędza-
jący długie zimowe wieczory na grze w karty,
poczęli się niepokoić. Zbierali się gromadnie
u najbliższych sąsiadów i ubrani w różnokolo-
rowe szaty godzinami całemi mówili o wojnie.

— Eh wojna przeciąga się — zaczął któryś

wśród zebranych u popa w Kriwinskoje. — Wlecze się i niewiadomo, co przynieść może.

— Pewnie niczego nie zmieni tu na Syberji — odżegnywał się pop stary ze siwą brodą.

— Kto wie? — przerwał znowu inny.

— E, cóż wam batiuszko ¹ za głupstwa zaplatają głowę — upierał się pop stary. — Któż tu będzie wojował z kim i o co? Kirgiz? Kałmyk? Burjat? Czy inny jakiś stepowy włóczęga? Ruski człowiek przecież nie pójdzie na ruskiego człowieka. Krestjanin tutejszy buntował się nie będzie przeciw porządkowi ustalonemu przez Boga i cara prawosławnego. A może germaniec? Była wojna z Napoleonem. Napoleon rozgromił całą Europę. Zachciało mu się wyprawy na Rosję. I wot czto. ² Napoleon upadł, a Moskwa została. Została wielka matuszka Rosja. Zima i obszary nieprzebyte chronią nas zresztą przed niespodziankami.

— A może jeniec się zbuntuje — dorzucił z pogardą pop z czarnymi długimi włosami.

— No, jeniec, jeniec, cha, cha — śmiało się całe towarzystwo. — Człowiek bez praw zdany na naszą litość i łaskę. Wystarczy parę ku-

¹ ojciec.

² co.

lomiotów, aby oczyścić od nich powietrze syberyjskie.

*

Gdy przyszły święta Bożego Narodzenia, ludzie ukazali się na drogach we wyjątkowo olbrzymich tłumach. Dosiedli tutejszym zwyczajem koni lub rozparli się w pięknych sankach i rozpoczęli jazdę, jakgdyby o życie chodziło.

Zahuczał od zgiełku ludzkiego step. Rozdzwoniły się dzwonki i dzwoneczki. Człowiek, krzyczał, śpiewał i wył jak zwierz. Zdało mu się, iż krzykiem i wyciem wyrzuci cały niepokój sumienia, podzieli się lękiem z ziemią, na której żył. Szał nie miał końca. Od świtu do późnej nocy przesuwwały się sanki jedno za drugimi. Pędzili za nimi na spienionych koniach młodzi szaleńcy. Słowa wykrzykiwane głośno, śpiewki, muzyka ginęły w przeraźliwym wyciu i zlewały się w djabełską melodię. Rzekłby ktoś pierwszy raz przyglądający się tej jeździe: „djabieł opętał ludzi i wiedzie ich na zatracenie“.

W ostatnich dniach tak zwanej maslenicy¹ trwającej niemal cały tydzień ze wzmożoną siłą szaleli mieszkańcy wsi syberyjskiej. Wy-

¹ zapusty.

pchali na drogi wszystkie sanie i wyprowadzili wszystkie konie. Zwierzęta i ludzie skłębili się w jedną masę, do siebie podobni. Rozwijały się zdaleka barwne wstęgi opasujące młodych junaków pędzących na koniach, jak pędzi dziki jeździec na szerokim stepie. Konie upadały ze znużenia. Łamały nogi. Odstawiano je pod bramy domostw, a brano drugie. Ludzie spadali na ziemię. Kaleczyli się. Gonitwy nikt jednak nie starał się powstrzymać.

Do ostatka trwał jęk i zgiełk.

Wreszcie ustał. Ustał o północy dnia ostatniego maslenicy, gdy nadszedł wielki post.

Na drogach zapalono ognie. Zmęczone gromady ludzkie zbliżyły się do płonących ognisk i otoczyły je kołem. Wsłuchiwały się w trzask palącego się drzewa i wpatrywały się w daleki step. Niedawno jeszcze mocne, pędzące, jak wichura po stepie, obecnie słabe, nędzne.

A gdy się zrobił dzień, powlekły się tłumnie do cerkwi i szukały tam ukojenia.

XIII.

Oficer jeniec wyjechał do wsi Lisienskoje.

Ostatnie krwawe blaski po zachodzie słońca rozpływały się na horyzoncie, gdy jeniec

okryty długą szubą w głębokich sankach wjechał w step.

Kto znalazł się kiedyś w tych stronach, na szerokich szmatach ziemi pustej, pokrytej bielutkim śniegiem, wśród zimy syberyjskiej, ten wie z jakim uczuciem radości i lęku równocześnie wjeżdża się na to białe morze, na którym koń z sankami i człowiek jakże śmieszną w rękach losu niezbadanego wydają się zabawką. Stojący w przedniej części sanek „izwoszczyk“¹ gwiżdże bez przerwy i nawołuje, jakgdyby sam siebie chciał w błąd wprowadzić, że potrafi dać sobie radę z przyrodą. A Lisienskoje niewiadomo gdzie, niewiadomo, jak daleko i w jakiej stronie świata.

— Konie tędy już nieraz szły — upewniał sam siebie izwoszczyk — więc one najprędzej trafią.

I rzeczywiście po północy trafiły.

W Lisienskoje wszyscy już spali. Świeciło się tylko w domku popa, dokąd jeniec zajechał w gościnę.

Znany rewolucjonista rosyjski i katorżnik chodził właśnie po izbie i opowiadał o Syberji z takim podnieceniem, że grający w karty goście, grę przerwali.

¹ woźnica.

Rewolucjonista przyglądał się wchodzącym jeńcom i odsunął się pod ścianę.

A gdy jeńcy po przywitaniu się i wyjaśnieniu, skąd przybyli, usiedli do stołu, rewolucjonista podszedł do nich i pytał:

— Słyszeliście, jak w dniach ostatnich step ten pusty i dziki rozkrzyczał się od ludzi?

— Oczywiście...

— Da, da, w tłumach syberyjskich czaudonów niezawsze jest rabia służalczość. Przychodzi czas, gdy rośnie w nich bunt. Bunt przeciw wszystkiemu. Przeciw niebu i ziemi. Jak lawina pędzą tam nieustępliwie, gdzie ich instynkt prowadzi. Na swoje i drugih zabicie. Zdaje się im, że własnymi pięściami rozbijają wszystko, to, czego rozumem nie byli w stanie pojąć. Potargają pęta własnej głupoty i niemocy. Gdy byłem w dalekiej ziemi Jakutów, spotkałem człowieka, który porzucił wszystko, co miał na tym świecie i poszedł w odwieczny las.

— Brodjaga,¹ brodjaga — zauważyli zebrani — takich na Syberji wielu.

— Tak brodjaga — powtórzył katorżnik. Człowiek bez imienia i bez nazwiska. Czło-

¹ włóczęga, specjalny typ ludzi nierzadko inteligentnych spędzających życie daleko od osad ludzkich.

wiek ten przestał wierzyć, że można na świecie zwalczyć zło. Odszedł w las odwieczny, by tam stać się podobnym do liści unoszonych wiatrem, rzucanych z dolin na wzgórza i z wzgórz do jarów i rzek.

Rewolucjonista spojrzał na zebranych. Zorientował się, że dalej mówić nie można. Przerwał. Odszedł w kąt, jak duch, który wśród cichej jeszcze wsi syberyjskiej wdarł się w piękną noc zimową do domku popa, by zmącić błogi nastrój i który o świecie zniknie.

Jedna z miejscowych nauczycielek przepowiadała koniec wojny. Popadianka¹ nawet twierdziła, że Austria się rozpadnie i że jeńcy nie wrócą do swych krajów. Gospodyni w sąsiedniej izbie nastawiła gramofon na jakieś przestarzałe dumki rosyjskie, a pop uspakajał pisara² wołości oburzonego na wywody nieznanego mu bliżej katorżnika.

Jeniec pożegnał się niebawem i domek opuścił.

Wyjechał znowu w step.

Daleko już za wsią izwoszczyk obrócił się nagle do niego i tak zaczął:

¹ córka popa.

² pisarz wołości nieraz najważniejsza osoba we wsi korespondująca z władzami.

— Nu cóż kraj nasz wielki i bogaty.

— O tak — przytakiwał jeniec.

— Ziemia ta mogłaby wyżywić wszystkich i wszystkim byłoby dobrze. Tymczasem ot, głoduje naród w niektórych gubernjach, a oporni giną na odludnych zsyłkach. Traktami syberyjskimi w noc, jak dziś mroźne, ileż tułaczy wlekło się w nieznane strony.

— Po wojnie się pewnie zmieni — odezwał się znowu jeniec.

— Tak myślicie. Hm. Napędzony pop Petrow mówił, że trzeba się do walki sposobić. Kto przetrwa i zwycięży, ujrzy złote słońce nad Rosją. A ja myślę tak. Któż w biegu zatrzyma księżyc, któż zmieni zimę syberyjską we wieczną wiosnę? Przyjdą czasy inne, nowi ludzie, nowy porządek, ale zło zostanie złem, bo natura ludzka niełatwo da się zmienić w inną. I tiurmy zostaną i zsyłki może jeszcze straszniejsze od dzisiejszych.

Jeniec zakrył się szubą. Uprzytomnił sobie gorączkowy wyraz twarzy rewolucjonisty z Lisienskoje, rzucającego zebrany groźne memento o buncie tłumów. Zastanawiał się nad filozofją izwoszczyka i mimowoli pomyślał:

— Jakież potworne rzeczy zrodzić się mo-

gą, gdy w tych ciemnych tłumach powstanie bunt, a zbuntowani nabiorą przekonania, że zła nie można pokonać.

Wtulił bardziej jeszcze głowę do futra, jak-gdyby chciał się od tego wszystkiego odgro-dzić i oddzielić od pustego stepu potężnego, jak potężny jest ocean wód.

— Wilki! — zawołał nagle izwoszczyk. — Widzicie duże plamy na śniegu po prawej od nas stronie?

— Widzę. — Czem będziemy się bronić?

— Nic nam nie robią. Konie biegną żywo i nie zmyliły drogi. Na wszelki wypadek przy-gotowałem wiązanki słomy. Zapalcie je i rzuć-cie w ślepia, gdyby wilki blisko podeszły. Re-sztę mnie zostawcie.

Wilki jednak nie zbliżyły się.

Izwoszczyk gwizdał dalej i nawoływał, aż sanki niespostrzeżenie stanęły w Kriwinskoje.

*

Już szli do wołości mężczy, którym pri-staw¹ wypłacał miesięczne należitości za ży-wienie jeńców. Poszedł tam także jeniec, by uspokoić kaprała, który mu zezwolił na wy-

¹ drugi stopień policyjno-administracyjnego urzędnika.

jazd do Lisienskoje, a obecnie bał się do tego przyznać przed przystawem, by go na front nie wysłano.

Właśnie przy stole gryzmolił swe koszlawe nazwisko „kapral Kudrawcew“, a przystaw otoczony starszyną wołosci,¹ niepiśmiennym starostą,² trzymającym kurczowo we woreczku pieczęć urzędniakiem policyjnym przedkładał bumagi i krzyczał. Krzyczał na starostę, że powoli wyciąga pieczęć, na konwojentów, że nie umieją nawet nazwiska wypisać i na muzyków zbliżających się do niego nieśmiało z jakimiś zażaleniami.

— Wy czego? — i zaklął wreszcie iście po rosyjsku.

— My wot... — jękali się wystraszeni muzycy i mnąc czapy w rękach uderzali niemi o podłogę kornie chyląc głowy i nisko się kłaniając.

— My wot... — i znowu utknęli.

— Nu!!

— Niezadowoleni z zarządzeń władz — dorzucił pisarz.

— Co?! Więc buntownicy!

¹ odpowiadający wójtowi zbiorowej wsi; ² odpowiadający sołtysowi gromady.

— Nie, nie... przerywali wystraszeni kre-
stjanie.

— Milczeć! Ja wam uścielę drogę po spra-
wiedliwość! Won! ¹

— Won! — krzyknął za nim pisarz i uria-
dnik.

— Won! — krzyknął kapral i zwinnie
wyrzucił ich za drzwi.

Potem zbliżył się do jednego ze swoich po-
mocników i szepnął:

— Wiesz kakoje ² zażalenia na mnie chcieli
wnosić. O, na front mnie chcieli wysłać. Te-
raz zrozumieją, jaką ja mam władzę. Nie ze-
chce im się przychodzić do przystawa.

Odszedł następnie spokojnie na kwaterę.
Sprrowadził sobie nawet z rodzinnych stron
żonę, złożył z nią jeńcowi oficerowi wizytę,
a służbę całą zdał na swych pomocników.

*

Oficer jeniec znowu jeździł do Małego Kri-
winskoje, do Złotoj i do Gołownoje, gdzie
z polecenia władz spisywał Węgrów i Rumu-
nów, z których nazwiskami Rosjanie nie mo-
gli sobie poradzić. Pojechał także pod strażą
do Kurganu.

¹ precz.

² widzisz jacy.

Właśnie ulicami gorodu przeciągały tłumy i podniecone wołały:

— Przemyśl wzięty! Komendant twierdzy poddał się do niewoli z kilkoma generałami i 200 oficerami.

Jeńców spotykanych na ulicach i placach tłumy otaczały, znieważały i biły. Zdawało im się, że w ten sposób przyspieszą ostateczne zwycięstwo Rosji i wyładowują nagromadzony w nich zapal wojenny, który wzmógł się jeszcze pod wpływem wiadomości o zdobyciu Przemyśla.

Konwojent zawrócił jeńca na wieś.

*

We wsi obchodzono panichidę, to jest święto umarłych. Młodzi i starzy, Rosjanie, Serbowie i Czesi, czaudonowie i jeńcy szli na groby, na cmentarz. Mużycy nieśli na wielkich tacach żywność dla zmarłych zwaną tu także panichidą, a składającą się z ryżu, miodu i cukru. Szli wszyscy poważnie. Pospuszczali głowy, jakgdyby uginając się pod ciężarem smutku i głębokich rozpamiętywań. I ci, co tutaj w spokojnej wsi syberyjskiej niejedną złośliwością przyspieszyli zejście z tego świata pogrzebanych na cmentarzu i ci, do których świa-

domości zdawało się nie docierały żadne ludzkie bóle. Ludzie niegdyś spokojnie patrzący na umarłych zostawionych w zwałach, czerniejących i rozkładających się. Ludzie z umarłych ściągający ubranie, by siebie przyodziać i byt na ziemi przedłużyć. Ci, których nie wzruszał najstraszniejszy krzyk i rozpacz nieszczęśliwych chcących ratować swe życie i ci, którzy uchodzili z osad ludzkich palonych i niszczo-nych odpowiadający na wszystko: „cóż możemy zrobić; sami nie możemy uciec przed własną niedolą“. Żołnierze, którzy kiedyś krzykowi rozpaczy rozdzierającemu powietrzu — przeciwstawiali milczenie jako jedyną odpowiedź skamieniałych uczuć.

Szli powoli. Na grobach siadali, spożywali część przyniesionego pokarmu, resztę zostawiając dziadom. Klęczeli, modlili się za dusze zmarłych. Chcieli im ulżyć w życiu pozagrobowym. Rosjanie i jeńcy. Wszyscy pełni głębokich uczuć.

XIV.

Mrozy tymczasem słabły. Coraz cieplej robiło się na syberyjskim stepie. Śnieg powoli zlaźił z równin, a na wygrzanej gorącemi pro-

mieniami słońca ziemi, po jakimś czasie zakwitły na wzgórkach za wsią, wietrodujki, pierwsze kwiatki kosmate. Wilki nie atakowały już osad, a zające zmieniały swą barwę.

Step zieleniał.

Na jeziora poczęło zlatywać ptactwo błotne.

Jenicy wyłazili na ambary i grzali się w słońcu lub szli ku jeziorom do lasków brzozowych. Omijali zwały nawozu bydlęcego wywiezionego zimą przez mieszkańców wsi za osadę i kopącego się, po podpaleniu go w różnych miejscach, dniami i nocami. Przyglądali się tysiącom małych stworzonek zwanych suslikami wystających na kopcach ziemi, przy wschodzie i zachodzie słońca. Niektórzy wyjeżdżali z miejscowymi muzykami daleko za wieś, na długie tygodnie, by przy orce czarnej urodzajnej ziemi, nie potrzebującej ani nawozu ani mozolnej pracy człowieka, zapomnieć o wojnie, o wsi syberyjskiej, o wszystkim.

Mijało ich bydło pędzone stadami na paszę. Przelatywały nad głowami chmury ptaków różnego rodzaju. Świeciło pięknie słońce i przepełniała się zapachem, orana pługiem ziemia.

*

I gdy jeniec wojenny myślą oddalał się od tego, co przeżył, gdy pod nieskalanym błękitem nieba rozpływały się wśród ciszy w przyrodzie i jednostajności życia, wszystkie przykre i przerażające obrazy z niedawnych dni, spędzono go z pól i zamknięto z nielicznymi wyjątkami ponownie w barakach. Miała to być represja za utratę z takim trudem zdobytego przez Rosjan Przemyśla.

Jeniec w gromadach pomaszerował znowu ku miastom syberyjskim, z których się kiedyś z taką radością po stepach rozszedł. Zawrócił do tych samych zawszonych i zimnych baraków. Spotkał jeszcze znajomych pozostałych przy życiu.

*

Koncentracja jeńców wojennych w tym czasie odbywała się w różnych miastach Syberji. W Kurganie, w Czeljabińsku za Uralem, w bardziej na północ wysuniętym Tiumeniu i Tobolsku. Na linii kolei transsyberyjskiej. W Iszimie, Petropawłowsku, Omsku, Nowonikołajewsku nad Obem, Aczyńsku i Krasnojarsku. Zapełniali również jeńcy obozy Tomską, Irkucka, Czity i Troickozawska daleko za jeziorem Bajkałskiem. Pomieszczono ich także

niedaleko granicy Chin w pięknie położonym Ustkamieniogorsku i dalej na północ wśród stepów w Semipałatyńsku i Pawłodarze. Znany był wreszcie obóz jeńców w Bijsku pod Alta-jem i bardziej oddalonym od gór Barnaule.

*

Jeńców z Kriwinskoje z Lisiego, Makuszy-na, Liebiaży i Gołownoj sprowadzono do Kurganu. Żołnierzy przeważnie pomieszczono w barakach, a oficerów w prywatnych domach Puzankowa, Zajcewa, w Troickiej czaj-ni i w domu Tkaczewa, w środku miasta. Ja-kiś czas pozwalano jeszcze udawać się w nie-wielkich grupach pod strażą do kąpieli w le-niwie płynącym Tobole. Dzięki zaś wyrozu-miałości niektórych konwojentów gromadki jeńców przeprowiały się łódkami na drugi brzeg szerokiej rzeki i w skwarne dni upał-nego lata zapuszczały się w głęboki step, kędy od strony Kusanaju, Atbasaru, Kokczetawu i Akmolińska ciągnęły codziennie niezliczone karawany objuczonych wielbłądów. W krót-kim atoli czasie silne promienie słońca spaliły zieloną trawę, niebieskie w różnych odmia-nach kwiaty i pachnące krzewy. Za karawa-nami wielbłądów poczęły się unosić chmury

kurzu i pyłu czarnej ziemi zasypującej dotkliwie oczy, mimo zasłaniania ich tutejszym zwyczajem okularami, opatrzonemi po bokach skórą lub blaszaną ścianką.

Step przedwcześnie marniał i przedwcześnie zamierał. Upodabniał się do szarej pustyni. Całe życie przyrody skupiało się nad brzegami rzek i jezior. Tam kwiliły ptaki, tam brzęczały złośliwe komary i zjadliwe muchy. Tam zwierz w zaroślach szukał zdobyczy i chłodu. Tam człowiek błąkał się do zachodu słońca.

*

Po pewnym czasie zabroniono kąpieli w Tobole. Tutejszym mieszkańcom zakazano rozmawiać z jeńcami pod groźbą wielkich pieniężnych kar. Do baraków lub kwater wyznaczonych dla jeńców dopuszczano tylko wędrownych chińskich kuglarzy z długimi warkoczami w przekonaniu, że z takich odwiedzin żadna dla Rosji nie powstanie szkoda. Chińczycy tymczasem przynosili wiadomości z wojny, o których nawet Rosjanom nie mówiono.

— Wasi ruskich biją — szeptali pod oknami.

— Ruski ucieka daleko.

I rzeczywiście, jak później ustalono, wojska rosyjskie opuściły już Lwów i front wschodni zarysował się od Rygi obok Poniewieża, Kowna, Grodna, Białegostoku, Brześcia nad Bugiem, Włodawy na Złotej Lipie i Dniestrze.

Oficerowie, których z etapów zgarnięto do niewoli ustawili się pod mapami rozwieszonymi na ścianach, regulowali chorągiewkami front wojenny, kłócili się o każdą drobną miejscowość, jakgdyby i oni zdobywali ziemię własnym trudem i znojem na wrogu.

— Hura, hura — bez przerwy wołali.

Za oknami kwater ulicami „goroda“ spieczyły ostatnie telegi. Wszystko powoli do snu się układało. Stróż nocny tylko kołatał stukawką na rogach ulic, a strażnik z wieży pożarnej wybijał godziny.

Rzekomi austrjacy patrjoci krzyczeli dalej. Wypełniali wrzawą jasne letnie noce pozwalające na spędzanie chwil przy grze w karty na małych podwórkach.

Dopiero przechodzący o świcie ulicami nowobrańcy rosyjscy nucący monotonne pieśni przypominali jeńcom, że ostatnie zwycięstwa państw centralnych jeszcze wojny nie zakończyły.

*

Przeciwnie. W Europie wzmógł się nowy szal wojenny. W krwawych walkach na zachodnim teatrze wojny we Francji, Niemcy na dobre poczęli operować trującymi gazami. Na morzach topiono okręty wojenne i handlowe łódkami podwodnymi.

W ulice miast syberyjskich wpędzono gromady tułaczy wojennych, bezdomnych ludzi, wygnanych z własnych chat, które następnie spalono. Całe rodziny lamentujących nędzarzy, sponiewieranych, obławowanych tłómkami ostatniego swego dobytku, który zdołały jeszcze tutaj donieść. Wielu z nich padło już w dalekiej drodze, wielu nie dało się oderwać od swych chat i na zgłiszczach domów lub w pobliskich lasach zginęło z głodu, wycieńczenia i chorób. Wielu nie zważając na walki przedzierało się przez linje okopów na zachód. Wlekli tłómoki, przepychali furmanki, krowy. Jęczeli, płakali, wyli przeraźliwie siekani nierzadko pociskami walczących wojsk.

A ci, którzy tu doszli, rozrzućeni zostali po całym chyba rosyjskiem imperjum. Dzieci osobno, ojcowie osobno. Krewni od krewnych daleko. Na Kaukaz, za Bajkał, na step i do Prjamurja.

Nie przejmowano się dołą bieżenców,¹ jak ich tu zwano.

— Wojna. Cóż poradzisz? — tłumaczono. Ileż to ludzi już zginęło? A iluż jeszcze zginie. Cóż stanie się, że przepadną i pomrą bezdomni? Oczyszczą się wreszcie ulice miast od wiecznie lamentujących ludzi. Nie będzie ich trzeba żywić i losem ich się opiekować“.

W domach syberyjskich mieszkańców szukano w zabobonach rozwiązania zagadki życia. W niezdrowej mistycznej ekstazie oddawano hołd upatrzonym prorokom, przybranym często w zakonne szaty, znanym nierzadko z rozpustnego życia. W zmysłowym wyuzdaniu walano się w kapliczkach u stóp ludzi głoszących, że trzeba grzeszyć, by można znowu pokutować, trzeba niszczyć wszystko, by znowu budować. Długo trwająca wojna wżarła się już prawie we wszystkie zakamarki spokojnego rosyjskiego życia. Rosły coraz większe niebezpieczeństwa. Człowiek rosyjski przyzwyczajony, że myślał za niego ktoś inny, wszechwładny car, gubernator, uriadnik, pop czy „Boh znajet² kto“ począł wątpić w ten porządek rzeczy. Przekonywał się pod wpły-

¹ uchodźców.

² wie.

wem rozgrywających się wypadków wojennych, że musi nieraz sam myśleć, by wyrwać się z niebezpieczeństw życia. Szukał więc wyjścia z matni i ciemny sam wpadał w jeszcze większą ciemność. Zdawał sobie sprawę, że jest grzesznym i że trzeba pięściami rozbić, to wszystko co go gniecie, potargać więzy życia, w których jak w sieci coraz bardziej się plątał.. Drogę wskazywali mu prorocy. Usprawiedliwiali jego grzech koniecznością pokuty, a niszczenie koniecznością zbudowania nowego porządku rzeczy. Muzyk rosyjski znalazł w nich swych carów.

Na placach i bazarach gromadzili się w mniejszych lub większych ilościach ludzie. Otaczali wróżbitów i włóczęgów różnego rodzaju i słuchali. Słuchali o tem, co trzeba zrobić, by być spokojnym wobec różnych zagadek życia.

Pomiędzy prorokami i wróżbitami przesuwali się w niespotykanej dotąd liczbie kuglarze chińscy. Pokazywali, jak się przepuszcza żywe węże przez dziurki nosowe lub jak znikają tajemnicze koraliki czerwone pod małemi czarkami. „Kitajcy“¹ wciskali się także do

¹ Chińczycy.

kwater jeńców wojennych i opowiadali, co Rosjanie na bazarach i placach mówią.

Wichr wył na stepie i roznosił po całej Syberji westchnienia coraz bardziej bezradnego człowieka.

XV.

Aż przyszły wreszcie dni chłodniejsze.

Człowiek ze swojemi troskami zszedł z placów i bazarów. Przyroda zamierała szybko podobnie jak szybko po stopieniu śniegów się budziła. W zamieraniu swem nie olśniewała człowieka przepięknemi skalami barw ginących roślin. Nad spaloną od słońca i zeszlą trawą nie było widać mieniającego się w słońcu przędziwa maleńkich pajaków nie było tak zwanego gdzieindziej „babskiego lata“. Na stepie rozciągającym się niby szare miejscami tylko zielonemi plamami pokryte morze, unosiły się chmury kurzu i przykrywały opadłe z drzew na ziemię, liście.

Część jeńców z Kurganu wysłano na wschód, w kierunku Petropawłowska i Omska. Wieziono ich temi samemi drogami, któremi ongiś prowadzono zesłańców politycz-

nych na osiedlenie. Przed oczyma odsłaniały się takie same krajobrazy i otaczali ich w drodze tacy sami ludzie.

W Usul Kyłu Kirgizi w oryginalnych swych strojach przywitali ich pieśnią, którą niedaleko dworca ślali do bogów mających w opiece step. Dziwny ten naród w przeważnej części koczowniczy gnany losem ze stepów za chlebem na poniewierkę ciężką, zawsze zwracał się do tych bezbrzeżnych pustych pól, gdy źle mu było w osadach i miastach, gdy modlił się o lepszą dolę. Na stepie się urodził, step go wychował i niezbadane moce zaziemskie sprawujące rządy nad stepem miały mu dopomóc w nierównej walce z zabierającym step Rosjaninem i głodem.

Z Usul Kyłu przez Petropawłowsk przewieziono jeńców do Omska, miasta gubernjalnego, zdaleka wśród stepu błyszczącego kopułami cerkwi. Z dworca przeprowadzono ich wśród nienawistnych okrzyków ludności, do przystani nad potężną szeroką rzeką Irtysz.

W przystani stał już okręt piękny zwany Jewropą, który miał ich zabrać daleko, w nieznany im zupełnie kraj. Okręt kołysał się na wodzie ciężko, woda bulgotała przy brzegach, a wdali rozpoczynał się niezbadany

step, przyciągający do siebie człowieka swą tajemniczością, dzikością i przestrzenią.

— Oby jak najprędzej odpłynąć — westchnął ktoś. Najdalej od ludzi gnębiących się wzajemnie, od Rosjan wyjących na brzegach Irtysza, ażeby wszystkich jeńców potopić i pomordować. Oby jak najprędzej. Do błogosławionego jeszcze niesplugawionego zakątku ziemskiego globu.

*

Zajęczały syreny okrętowe.

Ruszyli.

Woda Irtysza rozstępowała się na boki. Huczała bez przerwy za ogonem okrętu, pieniać się z wściekłości, że człowiek jej bieg tamował.

Jewropa płynęła. Coraz bardziej oddalała się od środowiska ludzkiego i coraz głębiej w step. Z przeciwnej strony od czasu do czasu przepływał okręt zdążający w kierunku Omska, a pasażerowie z pokładu powiewając chustkami radośnie witali spotkanych wśród pustkowia na Jewropie jeńców. Pozdrawiali jeńcy Rosjan i Rosjanie jeńców, życząc sobie pomyślnej podróży, chociaż parę dni temu w Omsku, ci sami Rosjanie chcieli jeńców pomordować i potopić.

Ku brzegom Irtysza podbiegały tabuny dzikich koni. Zwierzęta przyglądały się okrętowi i ludziom, biły kopytami i zawracały w step zasłaniając się kurzem spowijającym biegnące stado w jeden wielki toczący się po stepie tuman.

Jewropa mijała wyspy i wysepki rzeczne zarosłe wysoką trawą lub gęstymi krzewami. Wkońcu zatrzymała się u brzegów.

Gromada stepowych tubylców schwyciła rzucone jej z okrętu liny i okręt przyciągnęła do siebie. Przybyszów przywitała z niekłamną radością i ofiarowała na sprzedaż produktu wiezione dniami i nocami z dalekiego stepu: kumys, mięso, skóry, rogi i owoce.

Człowiek z okrętu zabierał wszystko i płacił ceny według siebie ustalone. A gdy tubylec nieśmiało upomniął się o większe kwoty, zwyślał go i zepchał z pokładu.

Tubylec usunął się. Przekonywał się nawzajem, że produkta jego i ciężki trud pewnie nie są więcej warte, skoro tak je ocenił człowiek jeżdżący pięknym okrętem. Pomógł znowu do odbicia okrętu od brzegów rzeki, życzył szczęśliwej drogi i wracał na step, by po jakimś czasie w to samo miejsce przybyć i na inny okręt ze swemi produktami oczekiwać.

*

Okręt kolebał się na falach rzeki i płynął na południe ku dalekim jeszcze góróm Altaju. Zostawił już za sobą stepy barabińskie i przeszerzenie szerokie suchych stepów kułundyjskich.

Do Semipałatyńska liczono 932 wiorsty.

Po lewej stronie Irtysza ukazywały się czasem chutory kozackie, a po prawej auły¹ kirgiskie rozrzucone i pochowane w dolinach. Dźwigały tu i tam głowy leniwie leżące na trawie wielbłądy, a przy norach nadbrzeżnych wykopanych w ziemi grzały się w słońcu nagie kirgiskie dzieci.

*

Okręt zawinął do Pawłodaru. Dwie wąskie wieże meczetów były jedynem urozmaicheniem tego nudnego i monotonnego miasteczka rozłożonego na bezdrzewnym stepie. Miasto zamieszkiwali prawie sami Tatarzy i Kirgizi. Tatarzy prowadzili handel, a Kirgizi pracowali w porcie jako robotnicy. Nosili towary z okrętu i ładowali na okręt. Na krótkich krzywych nogach przebiegali pomosty okrę-

¹ Kirgiskie osady tymczasowe składające się z ustawionych obok siebie namiotów zwanych jurtami.

towe tam i napowrót. Po każdym zabraniu worka czy skrzyni Kirgiz otrzymywał od austriackiego jeńca patyk do ręki, który następnie po odniesieniu towaru, składał na wielkiej misce. Za każdy patyk otrzymywał jedną lub kilka kopiejek. Kirgiz wierzył w uczciwość Europejczyka i nie upominał się o patyki. Europejczyk atoli niezawsze pamiętał, by mu patyk do ręki włożyć i Kirgiz niejednokrotnie nie otrzymał nawet wszystkich ciężko zapracowanych kopiejek. Zbesztany przez jeńca nie oburzał się. Uważał, że tak być musi, że więcej mu się za pracę nie należy.

A człowiek cywilizowany wykorzystywał jego nędzę i naiwność. Pomiałał nim gorzej, niż bydłem.

— Za krowę — mówił do przejeżdżających jeńców zarządzający składami portowymi Rosjanin — trzeba płacić ruble, a Kirgiz i czarta nie wart. Dzikiego konia musisz długo na arkan łowić, a Kirgiz sam przychodzi ze stepu i do najcięższej pracy się zaprzęga.

*

Z Pawłodaru okręt płynął wolno. Natrafiał coraz częściej na mielizny. Step cały drze-

mał. Zapadały takie same wieczory i budziły się takie same ranki czerwienią zórz płonące.

Z jakąż radością wpatrywali się jeńcy w tajemnic pełną, niespętaną ręką człowieka, przyrodę.

— Kiedyś, po latach — ktoś cicho szepnął — pługi będą orały te odwieczne pustkowie. Człowiek zbuduje tu osiedla. Harmider ludzki napelni te miejsca. Będą na drogach tłukły się furmanki wszelkiego rodzaju, a po szynach kolejowych potoczą się maszyny, jak w innych częściach globu ziemskiego. I nikt z żyjących wówczas nie pojmie, jak tu ongiś było dziko, pusto, ale zarazem pięknie. Nikt nie zrozumie jaką przyciągającą miał w sobie moc ten bezbrzeżny zdawało się step, chociaż na wielkich przestrzeniach zamarły.

Jeńcy śpiewali i grali na bałalajkach. Nie schodzili prawie z pokładu okrętu. Chcieli się nasycić tem wszystkim, co człowiekowi znużonemu życiem daje niezmacona cisza i pusta przestrzeń. Do kajut schodzili tylko na krótki odpoczynek. O wczesnym świcie wpatrywali się znowu w takie same szmaty pustej ziemi. Nie było tu zamczysk zaklętych, ruin świadczących o dawnej przeszłości człowieka, nie było miast oryginalnych, nie było gór dzikich,

ani wspaniałej przyrody. Była zeschła trawa, nad brzegami rzeki tylko zielona, było w dzień wielkie rozpalone nad ziemią wiszące słońce. Były wieczorem blaski tak przerażające, jak łuny pożarów, były nocą światła milionów gwiazd i cienie potężne, jakgdyby jakichś zaziemskich zjaw w świetle księżyca wędrujące po spieczonej za dnia słońcem ziemi.

A jednak nikt się nie mógł od stepu oderwać.

*

W Semipałatyńsku, stolicy obłasci¹ tej samej nazwy, jeńców wojennych przetransportowano z dużej Jewropy na mniejszy okręt zwany Bereżniakiem.

W okolicy zrobiło się zimno. Spadł śnieg i pokrył step. Zdaleka widać już było obielone śniegiem pierwsze góry Altaju. Pojawiały się w miarę dalszego posuwania się okrętu dalsze górskie pasma i szczyty: Grzbiet Narymski i Katuńskie Bielki z Bieluchą.

Rzeka płynęła coraz węższem korytem. Woda toczyła złomy skał z niedalekich gór, gdzie widocznie w zawziętej walce torowała sobie drogę na północ.

¹ kraj.

Zbliżono się wreszcie do oryginalnego miasteczka zwanego Ustjkamieniogorskiem, przepięknie rozłożonego prawie u stóp pierwszych gór Altaju.

Okręt zawinął do przystani, a miejscowe władze rosyjskie odprowadziły jeńców wojennych do twierdzy.

Żegluga po tym dniu na Irtyszu ustała. Zamarzała powoli woda i zima odgradzała osadę od reszty świata na długie miesiące. Ustjkamieniogorsk stawał się odrębnym zamkniętym dla siebie państwem, a władze miejscowe suwerennymi kacykami. Nikt ich tu nie kontrolował i nikt ich do odpowiedzialności pociągać w tym czasie nie mógł. Od czasu do czasu przedarła się wprawdzie karawanami od Semipałatyńska poczta, przywoziła atoli wiadomości z przed miesiący.

*

Jeńcy załamali się na duchu zupełnie. Stłoczeni w ciasnych kwaterach lub barakach bezustanku następowali sobie na pięty. Zdawało się im, że coraz bardziej grzęzną w szarzyźnie beznadziejnego życia i na coraz głębsze dno zapadają. Winnych ich upadku widzieli wszędzie. W świecie szerokim, w Rosji, w Ustjka-

mieniogorsku i wokoło siebie. Niedawny towarzysz podróży po szerokim stepie, z którym dzielił się jeniec ze swemi wrażeniami, stawał się także powodem jego niewygodnego życia i przyczyną jego trosk.

— Poco on żyje? — powtarzał. — Czemu jak najprędzej nie zdławi go choroba i nie zdusi.

Zgryźliwość ludzi nie mających dość sił, by obudzić w sobie wiarę w nowe inne życie, jak zaraza przenosiła się z kwatery na kwaterę i wszystkich splotła w gromadę zwierząt w ludzkiej postaci, od świtu do nocy z coraz gwałtowniejszą zaciekłością uprzykrzających sobie tutejszy zimowy pobyt.

*

W barakach żołnierskich za rzeką Ulbą było najgorzej.

Przed budami drewnianemi głęboko wkopanemi w ziemię, oddzielonemi od osady ludzkiej wałami, żarły się o kości za wrotami kolczastych ogrodzeń gromady chudych psów szczerzących zęby do siebie i do ludzi. Do bud zwanych barakami otwierały się ze skrzypieniem drzwi obmarzłe, a ze środka buchał zaduch, przed którym chciało się uciec. Rozle-

gał się jęk ludzi nie umiejących znaleźć wyjścia z beznadziejnego położenia.

— Zamykaj drzwi do stu djabłów — krzyczał ktoś z baraku na człowieka próbującego wejść do środka. Nie dość, że wszy gryzą, to jeszcze cholerne zimno.

Człowiek mimo wszystko wszedł.

Rozglądnął się wokoło.

Na pryczach na piętrze i na dole leżeli jeńcy wojenni, przykrywający się podartymi płaszczami i brudnymi łachmanami. Niektórzy byli chorzy. Majaczyli w gorączce i pletli głupstwa ginące w ogólnem narzekaniu wszystkich. W środku przejścia barakowego stał piec, do którego bez przerwy jeńcy wrzucali drzewo, świeże gałęzie lub śmieci. Piec nie mógł jednak ogrzać baraku skleconego z desek, zwłaszcza, iż wsypaną między deskami ziemię dawno wydmuchał wiatr przez szpary ścian.

Jeńcy skurczeni, apatycznie powtarzali:

— Poco zasypywać? Zimy i tak nie przetrwamy w tych warunkach. Na nic się nie przyda wszelka praca. Brudni, niestrzyżeni niegoleni czekali...

Naco?

Sami nie zdawali sobie sprawy. Może na zawarcie pokoju, a może na śmierć. Nie zabez-

pieczali się przed mrozem, choć wiele mogliby własnymi siłami zaradzić. Nie prali brudnej bielizny i nie golili się, chociaż prawie wszyscy byli młodzi. Na jedzenie tylko rzucali się, jak ta gromada psów chudych szarpiących się na placu przed barakami. Wydierali sobie lepsze kąski, a potem wyłazili znowu na swe legowiska, przykrywali się czem mogli i klęli. Klęli i złorzeczyli na cały świat. Nic nie było dla nich świętego, nic godnego poświęceń i bohaterstwa. Nie było przyjaciół, nie było ludzi szlachetnych, nie było mądrych i zasłużonych dla rodzaju ludzkiego. Historję ludzkości przegarnęli od początku do końca. Błotem obryzgali usiłowania ludzi o poprawę bytu, splugawili rodzinę, a człowieka samego obnażyli doszczętnie. Zdawało się, że wszystko, w co ludzkość dotąd wierzyła, wszystko, co życiu człowieka nadawało jakąś wartość, naraz przepadło, zginęło bezpowrotnie. Zdawało się, że w tych środowiskach ludzi rodzi się nowy człowiek straszny, dyszący wieczną nienawiścią do wszystkiego, zdolny tylko do niszczenia.

A przecież pod łachmanami na pryczach mimo wszystkich ciężkich przeżyć i spełnionych nieraz czynów potwornych, nie przestało

bić serce ludzkie. Nie przestał wegetować człowiek ten sam, który w innych okolicznościach życia znajduje potępienie złego i współczucie dla bliźnich.

XVI.

Był już piąty dzień po Nowym Roku. W Ustjkamieniogorsku po dawnemu przyjeżdżali na bazar w gromadach Kirgizi i zaglądali do bogatych sklepów Siemionowa, Kozewnikowa i Rafikowa, choć ceny towarów poszły w międzyczasie w górę. Oblęgali również budy targowe i kupowali różne świecidełka.

Z Kirgizami stykał się tu jeniec wojenny. Przyglądał się im zbliska, uczył się języka i poznawał zwyczaje.

— Możeby z nimi uciec — pomyślał niejednen.

— Może w walce z przyrodą, daleko od gromad ludzkich zmieni się usposobienie człowieka.

W nocie jasne, gdy z nad stepów księżyc oświecał baraki i kwatery, ten i ów znękanym codzienną szarpaniną siadał na swoim barłogu i przez okienka małe patrzył w dal. Patrzył

tam, dokąd wieczorem z bazarów pognali ludzie o skośnych oczach i wystających policzkach, biedni włóczędzy, zadowoleni jednakże z życia.

*

Rozmyślania przerwały mu ciekawe zjawiska przyrody niepokojem napęlniające tutejszych mieszkańców w drugiej połowie lutego.

Oto na obłokach od strony Altaju późnym wieczorem ukazał się nagle księżyc w środku olbrzymiego świetlnego krzyża. Ramiona krzyża przedłużały się w dwie strony, a na ramionach tworzyły się dalsze krzyże i dalsze równie silnie błyszczące księżycy. Mimo uporczywego obserwowania nie można było odróżnić, która tarcza jest prawdziwym księżycem, a która powstała wskutek załamania światła. Krzyże o kolorach tęczy dalekimi ramionami łączyły się w pierścienie.

— Rosja zginie — podniosły się nagle głosy z tłumu czatującego na ulicach, bazarach, na dachach domów i świątyń. Będzie na Syberji wojna, mór i zaraza. Coś strasznego nastąpi, zobaczycie! Bóg okazuje carowi gniew za wojnę.

Ku ranu promienie i smugi świetlne osłabły.

Rozprószyły się z wolna i zginęły, a na obłokach ukazały się znowu trzy silne słońca na trzech krwawych krzyżach. Tłum na ulicach jęczał z przerażenia. Tłumaczył sobie, że wojna, to dopiero początek strasznych wydarzeń, które nastąpią.

Człowiek stał się małym, nędznym czekającym w trwodze spełnienia się groźnych wyroków boskich. Przykucnął pod parkanami, pod ścianami domów, zlaźł z dachów świątyń zeszedł z bazarów. Niewidoczny prawie znikł i pochował się w swych chatach. A gdy nadeszła niedziela pospieszył, tłumnie do cerkwi i kajał się przed Bogiem zsyłającym mu na niebie tak nieomyłne znaki. I muezzin o zachodzie słońca nawołujący śpiewnym głosem do modlitwy na cztery strony świata, z galerijki niedalekiego minaretu, zdradzał niepokój. Głos jego drżał wśród niesamowitej ciszy ulicy jakby z przerażenia, że Ałlah stał się innym.

*

Mijały znowu dni i tygodnie. Miało się już ku wiośnie. W Turcji toczyły się walki około twierdzy Erzerum miasta Musz i nad jeziorem Wańskim. W Persji zajęto miasto Kermanszach.

Robiło się na dworze znowu ciepło.

Irtysz dniami i nocami huczał jak wzburzone morze u brzegów lądu. Niósł z gór niedalekich olbrzymie kry lodowe hen, za Semi-pałatyńsk, za Omsk, ku ziemi mchem tylko porosłej pokrytej długo jeszcze śniegiem i lodem.

Step począł znowu szarzeć.

Pałyły się wokoło zeszłoroczne wysokie trawy. Ogniste języki wżerały się coraz głębiej i szerzej, zmieniały w podkowy ognia i krwawe jakgdyby rzeki płynące wartko po pustych przestrzeniach ziemi. Płonął i gorzał cały kraj olbrzymi. Zdawało się, że ziemia za Irtyszem zmienia się w jedną wielką otchłań, ziejącą ogniem.

Ludzie tutejsi, którym zresztą nie były dziwne wiosenne pożary stepu, nasycali się bezustanku tym widokiem. Tak był majestatyczny potworny i piękny.

Za „pałami“ jak je tu zwano wiosennemi ruszyły niebawem z gór wody pędzące na doliny. Budziło się w przyrodzie nowe życie. Nieśmiało ukazywały się znowu pierwsze kwiaty o pięknych barwach.

Jeniec, który niedawno jeszcze przez okna z barłogu swego nocą wpatrywał się w pusty

step, zlaźł ze swojej pryczy, ogrzał się w słońcu i poszedł nad brzegi huczącej rzeki. Patrzył jak fale waliły z wściekłością o nadbrzeżne skały, jak piana stłoczona u brzegów wyrzucana podmuchem wiatru rozlatywała się w strzędach po ławicach piaszczystych i ginęła zwalana prochem, gdzieś daleko od łóżyska rzeki.

Na przeciwnym brzegu Irtysza walały się jakieś ludzkie trupy. Może ciała tutejszych mieszkańców, a może jeńców, którzy zimą wyszli z baraków i w górach pobliskich znaleźli w śmierci rozwiązanie swego beznadziejnego położenia.

Potężne wrażenie ogarniało chory umysł stojącego nad Irtyszem jeńca. Samotny człowiek czuł się słabym i małym wobec dzikiej przyrody. W strzędach rozlatywało się wszystko, co kiedyś myśl jego sprzęgało do codziennych małostkowych kłopotów życia tak, jak rozlatywała się piana wodna po stepie brudna i zwalana prochem.

W miasteczku dzwoniły dzwony. To mieszkaniem tutejszy podniecony gwałtownem budzeniem się przyrody dostrajał się do huku wód Irtysza i wycia wiatru i w czasie świąt Wielkiejnocy cały tydzień od rana do wieczora dzwonami cerkiewnemi szarpał. Zdawało

się, że nie ucichną dzwony rozkołysane ręką człowieka, że wiecznie tak bić będą, jak wiecznie będzie szumiał Irtysz i wiecznie wył wiatr nad stepem.

Ale przyroda podobnie jak życie człowieka niezawsze pulsuje gwałtownie. Uciszył się Irtysz, uspokoił się step i osłabł człowiek. Wody płynęły cicho i człowiek włóczył się uliczkami miasta leniwie.

Jeniec wojenny dawnym trybem kręcił się tam i napowrót po małych podwórzach kwater, a ten tylko, co uciekł do Czuguczaku do Chin, do Pekinu, na traktach nieznanych się trudził.

W bujnych trawach stepowych było gwaro. Rozśpiewało się ptactwo daleko. Nad głową zwisały sępy szukające na ziemi zdobyczy. Sterczały nad brzegami rzeki urwiska, gdzie śmierć pochłaniała ofiary.

Jeniec pokonywał trud za trudem. Stał się jakby innym człowiekiem. Nie przeklinał, nie złorzeczył. Gorące słońce oblewające promieniami zmęczoną twarz nie osłabiło w nim nagle rozbudzonej silnej woli do przewyciężenia przeszkód. Tam w barakach za Ulbą, czy kwaterach jeńców w mieście, leżeli na pryczach ludzie bezwolni, jak bydło przez dozor-

ców przesuwani z miejsca na miejsce, tu wspinał się po skałach człowiek, który szczęśliwym był, że w trudach mógł się uszlachetniać. Mijał stada koni, owiec, wielbłądów i jaków. Przyglądał się kirgiskim arbom to jest dwukółowym wozom nakrytym na kabłąkach skórą. Szedł naprzód i nie cofał się przed niebezpieczeństwami życia.

XVII.

Do pozostałych w Ustjakamieniogorsku jeńców wojennych stosowano coraz ostrzejszy reżim. Nie pozwolono już nawet wychodzić na małe podwórza zwykle zamienione w ogródki warzywa i kwiatów. W czasie skwarnych dni trzymano w zamkniętych kwaterach, a gdy lato dobiegało końca, odstawiono na okręt i odwieziono do obozu koncentracyjnego w Omsku.

Od gór właśnie dął gwałtowny wiatr i unosił ponad domami potworne trąby kurzu, przed którymi człowiek i zwierz chronił się w zapadłych dziurach. Wzburzona woda kłębiła się i rzucała okrętem jak zabawką, trzymając po parę dni z konieczności w przystani. A gdy wreszcie okręt ruszył, burza szarpała

nim bez przerwy i za Semipałatyńskiem osadziła na mieliźnie, przy wysepce pełnej złośliwych komarów, całemi chmurami rzucających się na ludzi z gęstych krzaków. Komary szczęśliwie tylko miejscowych kirgizów, którzy na małych łódeczkach przepychali się przez zarośla wodne i zapalali majaki świetlne na rzece.

*

O świcie słońce blaskiem zalało wodę i całą okolicę. Zdawało się, że ziemia cała zmienia swój wygląd, lub że ludzie w jakiś sposób przenieśli się na inną gwiazdę świata.

Aby pojąć tajemniczość stepu na Syberji w tych stronach o wschodzie słońca, trzeba tu być i tutaj w życie przyrody się wpatrzeć. Zdaje się wówczas biednemu człowiekowi, że bliżej jest prawd odwiecznych i że trud jego po tym padole ziemskim przecież nie jest nadaremny.

*

Po przybyciu do Omska umieszczono jeńców w budach drewnianych baraków, za kolczastym drutem. Przy bramie wjazdowej stał na straży typowy rosyjski karauł, a z wysokich wież czatowały na jeńców chcących ucie-

kać lub buntować się, nastawione kulomioty. Po jakimś czasie atoli kulomioty zdjęto i zostawiono wartowników z karabinami, jako wystarczające zabezpieczenie.

Przybyłych jeńców wprowadzono do pierwszego baraku za nasypem ziemi, ciemnego i stęchłego. Wewnątrz po obu stronach wąskiego przejścia, na małym podwyższeniu stały prycze drewniane do spania, które każdy spiesznie zajmował, by nie zostać na mokrej ziemi. Prycze swoją odgradzał z najbliższym sąsiadem parawanem z desek lub szmat, by choć w ten sposób nie oglądać bez przerwy swych współtowarzyszów, których miał już dosyć.

Komendant baraków austriacki podpułkownik, na przywitanie zwymyślał ich od rewolucjonistów, zdrajców austriackiej ojczyzny i zabronił dostępu do wspólnej kuchni, zmuszając do psucia zdrowia razem z Turkami w miejscowej kantynie. Najmłodsi biegali za budami po piasku i w grze w piłkę nożną szukali oderwania swych myśli od rzeczywistości. Inni schodzili ze swych prycz tylko poto, by czas zapęłnić grą turecką w krzykliwego „czik czika“¹ lub nasycać się widokiem gnijących

¹ gra kostkowa.

i jęczących nędzarzy w barakach żołnierskich, za parkanem. Wsłuchiwali się, jak ci nieszczęśliwi ludzie przeklinali godzinę, w której na świecie się znaleźli, jak w rozpacz swej w życiu ludzkim widzieli tylko negację wszystkiego pięknego lub wzniosłego.

*

A na dalekich traktach altajskich, za huczącymi potokami, tam, gdzie majaczyły w barwach fioletowych poszarpane szczyty gór, a wysoko jaśniał błękit przestworza, taki sam jeniec torował sobie drogi do wytkniętego celu. Z podniesionem czołem szedł naprzód pełny wiary w spełnienie się jego śmiałych przedsięwzięć.

*

Najmłodsi znaleźli przyjaciół wśród współtowarzyszów takich samych, jak i oni. O przykrych przeżyciach, jakgdyby zapomnieli. Zawrócili do lat szkolnych, do dni przeplatanych nieurzeczywistnionymi marzeniami o tem, co było ich zdaniem w życiu ludzkim, szlachetnem. Wojnę całą i niewolę swą naiwną radością życia tak opromienili, że dni bojów zawziętych, bezwzględnych zdawały się być nie

walką o śmierć i życie, ale zwykłym sportowym wyczynem. Nie dawali się wciągać do swarów i seansów hipnotycznych, w których starsi szukali wypełnienia swego obozowego życia. Mimoto jednak innych w upadku moralnym nie wstrzymali. Przeciwnie, sami wkońcu mieszały się z masą ludzi pełnych nienawiści, deptających od rana do wieczora po niewielkich przestrzeniach ziemi obok baraków.

Nad całym obozem omskim zawisła jakby jakaś mroczna zasłona, oddzielająca tych ludzi od reszty świata poza obozem. Z baraków rozlegały się krzyki i wrzaski, jak z domu obłąkanych. Niektórzy z jeńców zachęcani widowiskami hipnotycznymi próbowali iść w ślady hipnotyzera. Układali się na uboczach, wpatrywali się całymi godzinami w oznaczone punkta, by wzmocnić w ten sposób swą wolę. Następnie wzrokiem swym prześladowali upatrzone medja, zwykle tych samych młodych oficerów nerwowo rozstrojonych, będących obiektem widowisk. Pomiedzy barakami przebiegały pochylone postacie polujące na medja. Pożycie w tureckim baraku jeńców skończyło się seksualnym skandalem. A za parkanami wywłóczono bez przerwy trupy

jeńców, którzy nie mogli już przetrwać cierpień fizycznych i moralnych, tu na tak zwanej „wystawce“.

Wielu próbowało stąd uciec. Wykopali podkopy pod parkany z latrin. Przesiadywali długimi godzinami we wychodkach, czekając na stosowną do ucieczki chwilę. Napadli nawet na żołdaka rosyjskiego stojącego na warcie, by go rozbroić. Wszystko jednak się nie powiodło. Podkop odkryły władze rosyjskie przed czasem, a sprawcę rozbrojenia żołnierza, rozstrzelano.

Następnie wszystkich zamknięto w barakach. Przy drzwiach wchodowych ustawiono silne straże.

W barakach skoncentrowało się teraz to, co w dzień rozlażyło się po podwórzach i pod parkanami: nienawiść, podłość, nikczemność i czarna ludzka dola. Zgarnęło się w kupie w czterech ścianach, jak straszne zmory dławiące ludzi nie umiejących znaleźć sposobów do ich opanowania.

Ktoś po raz może już setny opowiadał o swych przeżyciach na froncie. Ktoś wokoło siebie widział samych denuncjantów. Ktoś w człowieku każdym znalazł tylko zwierzęce instynkty.

W ciemnym kącie baraku wymyślano sobie wzajemnie już drugi dzień zrzędu. Bliżej drzwi jeniec bez przerwy tę samą melodję gwizdał.

Nikt nie znalazł na tyle autorytetu, by tych ludzi o pewnym porządku współżycia przekonać.

Dopiero opowieść naocznego świadka o przeżyciach niedawnych jeńców w Nowonikolajewsku nad Obem, jakiś czas uwagę zamkniętych ludzi w baraku, skupiła.

— Było to — mówił ów oficer — ubiegłej zimy. Prawie 4200 jeńców wojennych w krótkim czasie zeszło stąd na drugi świat, umierając na tyfus plamisty. Sceny, w zapowietrzonych zarazą, w ziemi wykopanych norach, były wprost okropne. Początkowo zagłądali tam jeszcze lekarze i felczerzy, ale gdy zaraza przybrała wielkie rozmiary, gdy dosięgła także lekarzy, wywieszono czarne sztandary i czekano, aż wszystko zginie i przepadnie. Napróżno z nor tych wołano o ratunek. Chorzy wlekli się do latrin, wypędzani przez innych, by załatwić swe naturalne potrzeby i wpadali do dołów kończąc tam swe życie. Nikt ich nie ratował i nikt stamtąd nie wyciągał. „Poco? — mówili zdrowsi. — Tak czy tak przecie żyć nie będą. Kto ich będzie ze

smrodu czyścić? Może zresztą i my sami tam się znajdziemy“. W norach na pryzkach drewnianych leżeli chorzy obok zdrowych jeszcze ludzi. Wszy zarażone tyfusem roznosiły zarazki choroby na tych także, co jeszcze chorobie nie ulegli. Codziennie rano stawał we drzwiach wchodowych rosyjski żołnierz z hakiem żelaznym w ręku i wołał przeraźliwie, jakby i jego już śmierć za gardło łapała: „Kto umarł?!“ — „Tutaj! Hej, słyszysz, tutaj!“ — odzywały się po całym prawie baraku głosy. Żołnierz podchodził spieszenie do wskazanego miejsca, wbijał hak do ciała zmarłego człowieka, ściągał wdół i włókł za sobą do niedaleko wykopanej jamy lub na cmentarz odwoził, gdzie trupy w gromadzkich grobach grzebano. Nierzadko żołnierz wbił hak do nieprzytomnego człowieka walczącego resztką sił ze śmiercią. Albo przez pomyłkę, albo dlatego, ponieważ wskazali mu jako zmarłego inni jeńcy, chcąc się najwcześniej od rozsądnika choroby odgradzić. — „Nic mu i tak już nie pomoże“ — usprawiedliwiali się i zadowoleni byli, że żołnierz go zabrał. Żołnierz może i spostrzegł w drodze, że człowiek ten daje jeszcze znaki życia, nie zawracał atoli, by nie mieć kłopotu.

— Przewyciężyłem zwykły w takich wypadkach lęk — mówił dalej jeniec — i wszedłem do jednej z nor tyfusowych. Dźwignąłem w górę słabo płonący kaganek i popatrzyłem w głąb. Oczom moim przedstawił się widok, którego nigdy, póki żyć będę nie zapomnę. W zaduchu, we własnych plwocinach, a nierzadko i wydzielinach walały się na brudnych deskach ludzkie postacie młodych ludzi, obdarte, nędzne, zniszczone. Cała nora jęczała i stękała. W tępych wzroku zdrowszych przebijало się przerażenie. Niektórzy w gorączce majacząc spadli ze swych prycz i leżeli na ziemi. Kilku czołgało się ostatkiem sił ku wyjściu, szukając ratunku za norą i tam na mrozie ginęli. Wielu opierało się o ściany baraku i wpatrując się w jakieś upiorne widziadła, krzyczało bez upamiętania. Silniejsi szamotali się ze szczurami wdzierającymi się tutaj ze stepu, całemi gromadami, po resztki suchego spleśniałego chleba. Słabi leżeli, jak kłody drzewa do czasu, gdy je ktoś wyrzuci. Tu jest piekło dantejskie, pomyślałem. Lasciate ogni speranza voi ch'entrate! ¹ I uciekłem. Biegłem, jakbym się wyrwał z grobu, w którym żywcem chciano mnie pochować.

¹ Pozostawcie wszelką nadzieję, wy którzy wchodzicie.

— I co się stało z jeńcami — odezwały się głosy z wszystkich stron.

— Pomarli.

— Wszyscy?

— Prawie, że wszyscy. Jakże mogło być w tych warunkach inaczej. Część ich leży na miejscowym cmentarzu, a część na stepie, gdzie były nory i latriny, a gdzie dzisiaj w nowych barakach nowych pomieszczono jeńców i nowe pulsuje życie. Przeszło cztery tysiące młodych ludzi pożegnało się ze swemi marzeniami o innem życiu po wojnie. Zeszli przedwcześnie na samo dno ludzkiego upadku i nie mieli już czasu się wydzwignąć.

Wśród jeńców w baraku zapanowała cisza. Zdziwiony karaul rosyjski stojący na straży uchylił nawet ostrożnie drzwi i patrzył, czy chytry jeńcy wojenni nie obmyślili znowu jakiegoś planu i nie uciekli.

XVIII.

Padał właśnie dużemi kroplami deszcz, gdy jeńców z baraków wreszcie wypuszczono na podwórze. Nienawiści rozbudzone do najwyższych granic rozpełzły po świeżem powietrzu, jak gazy trujące. Szpiegowano się nawzajem

i denuncjowano w całym obozie. Siostrze czerwonego krzyża, która w tym czasie przybyła z jakimś dygnitarzem szwedzkim wręczyli rękami patrjoci austriacy, plik doniesień na niełojalnych Słowian. Coraz gwałtowniejsze powtarzały się scysje między Słowianami pamiętającymi o uroczystościach członków panujących domów cesarskich, a Słowianami jawnie zwalczającymi wszelkie orientacje oparte o państwa zaborcze.

*

Lato gorące mknęło rażno. Trawa znowu na stepach zeschła. Blade światło słoneczne przesuwało się po ścianach baraków, schodziło na pochylone przy wrotach słoneczniki.

Jeńcy z polecenia władz, wsypywali między deski ziemię, podnosili nasypy rozlazłe w czasie deszczów letnich i wylepiali papierem wewnątrz baraków, ściany.

A gdy już z pracą tą zgrubsza się uporali, przyszedł rozkaz nowych wyjazdów w różne strony Syberji: do Czyty za Bajkałem, do Troickozawska, do Nowonikołajewska nad Obem.

*

Gromadę Słowian odprowadzono na dwo-

rzec i umieszczono we wagonach służących do przewozu bydła, a zwanych tutaj ciepłuszkami. W ciepłuszcze, w której zresztą z mrozu nie można było wytrzymać, ogrzewał się każdy kolejno przy ustawionym naprędcie żelaznym piecyku i robił miejsce innym jeńcom, tymczasem pokrywającym się szronem pod ścianami wozu.

Na sąsiednim torze wyrzucano z takich samych ciepłuszek, trupy. To Turcy, jak objaśniał jeden ze żołdatów rosyjskich, nie wytrzymali syberyjskiego mrozu i zginęli.

— Ot zachciewało im się z Rosją wojny — śmiał się Rosjanin, rzucając trupami jak kłodami drzewa. — Ziemię chcieli nam zabrać, a teraz nie mogą jej nawet oglądać. Z mrozem nie poradzili sobie, a naród nasz pragnęli pokonać. Eh kakoje.¹

I wylatywały trupy z wozów jedne za drugimi, spadały na szyny, pod koła i tworzyły u drzwi, ciał ludzkich kupę. Tego i owego trupa żołdat po zejściu z wozu odepchnął, tamtego wyrzucił na stos, jak wyrzuca się drzewo, które ze stosu odpadło na stronę. Resztę zostawiono pod wozem. Pociąg ruszający z miejsca

¹ Eh jacy tam.

miażdżył i krajał ciała umarłych, z żywymi podążając przez step na nowe trudy życia.

Tatarińskaja — Aksińsk — Nowonikołajewsk.

W drodze kilku jeńców zmarło, kilkunastu rozchorowało się, wielu zaś odmroziło ręce i nogi. Zmarłych wyrzucono na step, a żywych po przybyciu do Nowonikołajewska wprowadzono w ulice gorodu.

Pięknie tu wówczas było jeszcze i zacisznie. Z dachów domków oryginalnych, will drewnianych i kamienic ustawionych koło bazaru zwisał śnieg i zawałał przejścia chodnikami. Przez Nowonikołajewski prospekt przeciskały się lekkie sanki, a małe koniki plątały się w śnieżnych zaspach.

Przeprowadzanym pereułkami¹ jeńcom przyglądali się uważnie Tatarzy i Chińczycy, a Japończycy zamieszkujący również w niewielkiej liczbie to miasto, z niekłamaną sympatją pozdrawiali przechodniów wołając: zdrowstwujcie,² banzaj!³

¹ uliczki.

² witajcie; ³ witajcie (dosłownie: 10.000 lat życzymy).

XIX.

I na jakiś czas życie jeńców z ludnością tu-tejszą ułożyło się nieźle. Pozwolono im grupkami pod strażą wałęsać się po mieście, odwiedzać współtowarzyszów na innych kwaterach, czy w barakach i uczęszczać na nabożeństwa do polskiego kościoła, gdzie jeńcy wszystkich chrześcijańskich wyznań i różnych narodowości schodzili się razem. Jedni dla zaspokojenia swych potrzeb religijnych, inni dla omówienia planów ucieczki, zasięgnięcia wieści z krajów swych i od swych znajomych, inni wreszcie dla zawierania znajomości z miejscowymi dziewczętami lub poprostu dla chwilowego oderwania się od ludzi żyjących z nimi na kwaterach.

I tak powoli zbliżała się wiosna.

W mieście, wśród ludzi dało się zauważyć zmęczenie długo trwającą wojną. Wiadomości o walkach, o rzucaniu bomb ze statków powietrznych, o duszeniu ludzi trującymi gazami i miotaczami ognia przyjmowano już z coraz większą apatią. „Miljony zabitych. Miljony rannych. Wsie i miasta spalone. Szpitale zapchane rannymi — powtarzano. — Do-

kąd to trwać będzie i gdzie ludzkość wojna wreszcie zaprowadzi“.

*

Nagle rozeszła się wieść, że w Petrogradzie z 26 na 27 lutego wybuchła rewolucja.

W spokojnym mieście zawrzało.

— Kończy się wojna i uciemnienie narodu — wołano.

Puste dotąd ulice miasta i place wypełniły się tłumami ludzi. Rozwinięto wnet czerwone sztandary pierwszy raz powiewające na domach i drzewach przydrożnych.

— Jeńcy stawajcie z nami do jednych szeregów — zwracano się do przechodzących „awstryjców i germańców“. Nowe rozpoczynamy życie.

Ze wszystkich wież cerkiewnych rozzwoniły się dzwony, a twarze mieszkańców dotychczas przygnębionych rozjaśniły się i roześmiały. Jeniec wojenny dotąd pilnie strzeżony, pozostawiony został sam sobie. Obrzucany pogardą i nienawiścią stał się w oczach mieszkańców miasta takim samym jak i oni człowiekiem. Zapraszano go do domów, goszczono w lokalach publicznych i prowadzono dyskusję na temat zmian społecznych w Rosji

i w całym świecie. Osobne delegacje odwiedzały jeńców wojennych w obozie i brały udział w przedstawieniach urządzanych przez młodych aktorów.

Tłumy ludzi od świtu prawie do wieczora przesuwały się ulicami tam i napowrót, upajając się coraz to nowymi wiadomościami z postępów rewolucji w europejskiej Rosji.

W Nowonikołajewsku było gwarно i radośnie, jak nigdy przedtem i nigdy pewnie potem. Domy i zagrody stawały się czarownemi zakątkami, w których przebywał człowiek zadowolony, że doczekał szczęśliwych czasów.

Nad szeregami wojsk trzepotał las czerwonych sztandarów, chorągwi i chorągiewek. Zniknęli gdzieś znienawidzeni wielmoże, błagorodja i przewoschoditielstwa. Oficerowie maszerowali z żołnierzami w jednym szeregu, jak bracia. Szli na front, by wrogom o wielkiej przemianie Rosji obwieścić.

XX.

Na froncie jednak walka trwała dalej.

Rosyjski żołnierz, który tu przywędrował z czerwonym sztandarem, usłyszał jak daw-

niej świst pocisków i jak dawniej rozlegały się jęki ginących ludzi.

„Gdzie to braterstwo narodów?” — mru-
czał. — „Poco walczymy, kiedy rewolucja
stworzy nowy ład w świecie, kiedy każdy na-
ród sam będzie mógł stanowić o swoim losie.
Zawróćmy stąd i innych przekonajmy o ko-
niecności własnego rozbrojenia”.

I popłynęła fala żołnierska na wszystkie
strony. Przelewała się po dworcach kolej-
owych, napępiała wszystkie pociągi, wdzierała
się do ulic miast i miasteczek całej Rosji. „Precz
z wojną!” — wołała. — „Nigdy do niej nie
chcemy powracać”.

*

Ruszył się kraj nadwołżański i Ural.

Tam, gdzie ongiś nad brzegami Wołgi jeniec
wojenny wjeżdżający w głąb tego państwa,
starał się odgadnąć tajemnice zamieszkujących
te strony narodów, powstał wielki zbrojny
ruch o nowe przekształcenie świata. Znowu
brzegi odwiecznej rzeki stały się widownią za-
wziętych walk ludzkich. Znowu w nurtach
wód płynęły ciała pomordowanych, znowu
człowiek niszczył i palił, chociaż do wojny nie
chciał zawracać.

Dochodzące z Petrogradu wieści o powstaniu sowietu żołnierskich i robotniczych delegatów, podniecały masy.

Na ulicach miast nadwołżańskich wołano: „idźmy i palmy, mordujmy tych, którzy przeciwstawiają się naszemu hasłom, bo wszystko, co dotychczas głosił świat, to kłam i wieczne oszukiwanie naiwnych. My zbudujemy nowy świat, świat sprawiedliwości i dobrobytu“.

Obalano istniejące władze. Wybierano komitety żołnierskich i robotniczych delegatów. Wyławiano coraz to nowych rzekomo zatwardziałych zwolenników dawnego porządku. Gnębiono ich i poniewierano, usprawiedliwiając w ten sposób konieczność nowej dyscypliny i nowej podniety do wyszukiwania starym zwyczajem, wrogów.

Jeńców wojennych zaproszonych niedawno jeszcze do wspólnej budowy nowego porządku świata, spędzono napowrót do obozów koncentracyjnych i więzień. Zamknięto ich, odgrodzono od mieszkańców osad, a dla urozmaicenia życia pod jakimkolwiek pozorem przeprowadzano ciągłe rewizje, wysyłając do baraków całe oddziały żołnierzy, rabujących wszystko, co jeszcze dla nich jakąś wartość miało.

Żołnierze na miejscu ubierali się w zabrane spodnie, buty, palili skonfiskowany tytoń, chowali do woreczków znalezione u jeńców pieniądze. „Dawaj broń“ — wykrzykiwali, chociaż wiedzieli, że nikt z jeńców broni już nie posiada.

*

Był właśnie początek dni ciepłych. Za rzeką Kamionką na stepach topniały śniegi. Woda spływała gwałtownie do jarów i wąwozów. Rewizje w obozie jeńców wreszcie ustały. Jeńcy mogli się zająć uprawą ziemi w ogródkach założonych przez nich obok baraków. Mogli chwilowo zapomnieć przy pracy o tem, co się wokoło nich działo.

W wolnych chwilach organizowali orkiestry obozowe, urządzali kursa różnych języków i wysłuchiwali odczytów wygłaszanych przez prelegentów niemal z całej środkowej Europy. Na scenie barakowej grali różne role w dobranych operetkach czy komedjach. Z prawdziwym młodzieńczym zapalem chcieli utrzymać swego ducha na tych wyżynach myśli, na które wywiodły ich pierwsze dni rewolucji rosyjskiej.

*

Ale bestja w ludzkim ciele czaiła się wszędzie. We wielkich miastach, małych osadach, w obozach, w koszarach i na stepach. Wszędzie na pierwszy plan wysuwał się człowiek, którego nie obchodziły, ani hasła ani żadne ideje. Korzystał z rozluźnienia porządku społecznego i szedł za swoim instynktem. Palił, gwałcił i mordował. Paraliżował najszlachetniejsze nieraz zamiary innych, a ludzi potępiających go z drogi usuwał.

A gdy zmęczony legł na pustym stepie, w wygodnym pałacu lub na żołnierskim tapczanie, nucił piosnkę szyderstwem przejmującą:

Rosja, Rosja żałko ¹ mi tiebia.²

*

Przy melodji tej piosenki zapalił się Barnaul i przy melodji tej samej płonął w Nowonikolajewsku pierwszy od młynów kwartał. Ludzie, którzy pożar spowodowali szukali wódki, żarcia i dziewczek. Nie oswoili się jeszcze dobrze ze swem rzemiosłem. Bali się ciągle, iż silniejszy od nich chwyci ich w żelazną dłoń, zmiażdży łby i rozstrzaska. Puszczali więc

¹ żał; ² ciebie.

wywłóczonych na męczarnie ludzi, gdy ci krzyczeli przeraźliwie. Cofali się ku drzwiom, gdy właściciel z uporem bronił swej własności. Rozpuście oddawali się w ustronnych miejscach, a noce wybierali do morderstw i podpaleń.

Niedługo jednak ta nieśmiałość trwała. Czynny lęklawie przez nich początkowo spełnione dodawały im hartu i odwagi w nowych krwawych przedsięwzięciach. Świadomość zaś dokonanych coraz potworniejszych zbrodni nie pozwalała zejść z raz obranej drogi życia.

*

Rozwył się w tym czasie wicher nad stepem, jakgdyby wszystko chciał ze ziemią zrównać, a ludzi swą siłą przerazić. Baraki trzeszczały, rozlatywały się w kawałki, a chorzy jeńcy w niedalekim lasku brzozowym łagodniejszej szukali śmierci.

— Nic się już dla nas nie zmieni — jęczyli. — Z godziny na godzinę opadamy ze sił. Jakże możemy przetrwać coraz gorsze zawiewy w świecie?

.

A gdy nad ranem uciszyło się złe powietrze, gdy zdrowi wyszli z baraków i wyciągnęli ra-

dośnie ręce w gorących promieniach słońca, zastali wokoło na stepie zmarłych współtowarzyszów z głowami wbitemi do czarnej tłustej ziemi.

— Cóż to? — zawołali zdziwieni. — Tu wybrali sobie miejsca do umierania? Nie mogli już iść dalej, tam do wąwozów i jarów? Pocóż swym widokiem zatruli nam zaraz zrana radosne powitanie budzącej się, w słońcu skąpanej przyrody?

XXI.

Na frontach wojennych pułki rosyjskie i większe grupy wojsk na własną rękę tymczasem zawierały z Niemcami pokój. Schodziły następnie z placówek i okopów, a Niemcy zajmowali coraz dalsze ziemie.

Do walk stawały jeszcze tu i tam ochotnicze oddziały, kobiece bataljony, kozackie wojska. Nic to jednak na dłuższą metę nie pomagało. Frontu wojennego w dawnym znaczeniu nie było.

*

Do obozu jeńców wpadł młody żołdat rosyjski, usiadł pod jednym z baraków, rozgląd-

nał się trwożliwie, czy go kto z Rosjan nie podsłuchuje, a następnie tak opowiadał:

— Tam daleko w okolicach Moskwy był dom, w którym ujrzałem światło dzienne. Cieszyła mnie umajona bezmiarem kwiecica wiosna, lato skwarne pełne brzęczących much i cudowna rosyjska zima rozdzwoniona i rozśpiewana. Było mi dobrze. Aż oto nagle pewnej nocy ludzie podpalili nasz dom. Wołali przytem głośno: „nie pozwolić ratować, niech się spali, niech wszyscy zginą i przepadną“. Cóż ja tym ludziom zrobiłem złego? — pomyślałem. Skąd wziął się nagle taki człowiek, którego dotąd nigdy nie widziałem. Ludzie ci zabili mego starszego brata. Porąbali siekierami w kawałki. Siostrę wywlekli za włosy i zamęczyli. Matkę, która we drzwiach domu padła z przerażenia trupem, wrzucili do ognia. Wyli przytem jakąś ponurą pieśń kończącą się zwrotką o zniszczeniu świata do gruzów. Pieśń tę śpiewali z taką samą gorliwością, z jaką ongiś zasyłali modły do Stwórcy świata w cerkwiach o przebłaganie grzechów. Uciekłem do ogrodu zraniony w głowę i odchodzący od zmysłów. Nie zważałem na to, że ludzie ci wynosili z domu wszystkie rzeczy i wśród zażartych sporów między sobą dzie-

lili. Biegłem, jak człowiek opętany. Przed oczyma memi wyrastał świat potworny, przerażający, inny niż dotąd widziałem. Plakałem głośno. Żal, rozpacz, lęk i przerażenie spletały się w mej świadomości i wiodły do szaleństwa. Biegłem w puste pola daleko od ludzi, jak pies wściekły w początkach swej choroby. Co się ze mną działo, trudno naprawdę spokojnie opowiedzieć. Wreszcie oparłem się o jakąś samotną chałupę i jak idjota patrzyłem. Patrzyłem w pola, jakgdyby to nie były te same pola, po których tyle dni schodziłem. Patrzyłem w las za łąkami, jakgdyby to nie był ten sam las, gdzie za ptakami ugaśniałem. Wszystko jakieś nieznane, obce. Pamiętam, na wschodzie już dobrze rozjaśniło się niebo czyste, niepokryte żadną chmurką. Pamiętam, wystrzeliły smugi światła szeroko. Ukazało się słońce wspaniałe, czerwone, wielkie. Czemuż nie nastała wieczna noc, pomyślałem.

.

Drogą maszerowała gromada żołnierzy. Śpiewała te same pieśni, które słyszałem przy mordowaniu mych najbliższych. „Hej towarzyszu, z gromady wołano. Chodź z nami.

Idziemy z dalekich frontów, by nowy porządek w Rosji zaprowadzić. Mołodeńki¹ jesteś. Przyszłość do takich należy. Wstąpiłem. Co zaważyło na szali mego postanowienia nie umiem powiedzieć. Może była to dalsza droga ucieczki przed okropnościami ostatniej nocy. Może mi się zdawało, że ludzie ci inni, niż podpalacze mojego domu i mordercy mej matki, brata i siostry. Może zdawało mi się, że ludzie zapraszający mnie do siebie, powiedzą: Chłopcze miałeś tylko straszny sen. Tam niedaleko nadal stoi twój dom, zdrowa matka, brat i siostra żyje. A może, może i ja byłem już innym człowiekiem. Widziałem następnie wiele. Życie nie szczędziło mi żadnej przykrości. Widziałem, jak moi towarzysze upijali się do nieprzytomności, jak ustawiali pod ścianami domów, ludzi drżących o swe życie i jak z drwinami życia ich pozbawiali. Wydłubowali pojmanym oczy, wybijali zęby i przez osady puszczali wśród śmiechów ludzi przywiązanych do końskich ogonów walących głowami po grudach ziemi. Byłem w Kijowie w walce z dezterterami i tu na Syberji niejednemu już do ludzi wypuściłem pocisk. Sam już

¹ młodziutki.

szukałem coraz potworniejszych wrażeń. Sam śpiewałem pieśni ponure o zniszczeniu świata. Aż naraz, zatęskniłem za czemś, co nie jest takim, jak dzisiejsza rzeczywistość dnia. Zatęskniłem za czemś, co w mej młodości dziecinnej szło ku mnie, jak rozchylony kwiat słodczy i czarui. I tu przyszedłem. Zdawało mi się, nie wiem czemu, że może z wami zamknięto w barakach to wszystko, co nie jest tak ciężkie i przykre. Eh... pomyliłem się — po chwili bąknął. Jakże stąd znaleźć drogę ku temu, co dostępne jest tylko czystej nieskalanej brudami życia dziecięcej duszy. Jakże z tych baraków ujrzeć świat oczyma dziecka, kiedy w nich niejedno życie zeszło na dno przepaści.

Cofnął się jakby ze wstydem na drogę i zawrócił ku miastu. Odszedł, jakgdyby raniony w głowę uciekał z pod płonącego własnego domu.

Deszcz padał głośnie. Woda bulgotała w rowach. Zlewała się z szumem w większe strumyki i płynęła tak samo po tej samej ziemi.

*

Było to już w lipcu 1917 roku. Armja rosyjska prowadziła nieudaną zresztą ofensywę w Małopolsce wschodniej. W Moskwie odbył

się zjazd przedstawicieli burżuazji i proletariatu, starających się znaleźć drogi do zatamowania krwawych wypadków i do odszukania, jak mówiono „wspólnego języka“. Ceretelli i Bublikow, delegaci dwóch przeciwnych obozów, przy oklaskach zebranych podali sobie ręce do zgody.

Życie jednak popłynęło swoim korytem. Nie pomogła rozpoczęta na południowym odcinku frontu, ofenzywa. Nie pomogły wysiłki przedstawicieli walczących ze sobą obozów, przewidujących dla Rosji katastrofę. Ludzie zastanawiający się głębiej nad przejawami życia, zwiastowali coraz groźniejszą społeczną burzę. Uciekali zagranicę lub rzućni wypadkami o piętrzące się przeszkody, kładli się jeden za drugim na barykadach wewnętrznych walk. Do walk tych nierzadko także wciągano jeńców, z którymi następnie rozprawiano się w sposób bezlitosny.

*

Z obozu nowonikołajewskiego rozwieziono jeńców na wszystkie strony świata. Do Kurganu na zachód, do Irkucka na wschód, do Tomska na północny-wschód i do Bijska na południe.

Jeńcy chętnie wyjeżdżali, spodziewając się znaleźć w nowych obozach więcej spokoju. Chcieli być jak najdalej od tego wszystkiego, co obecnie potężną falą wlewało się przez Ural na Syberję z europejskiej Rosji. Niezawsze atoli trafili szczęśliwie. Niektóre obozy koncentracyjne bardziej jeszcze były znienawidzone przez miejscowych Rosjan, aniżeli obóz nowonikołajewski. Bardziej jeszcze przeciw jeńcom zwracała się złość ciemnego czau-dona nie umiejącego w krótkim czasie znaleźć tych wszystkich dóbr, które jego zdaniem rewolucja miała mu przynieść.

W Bijsku pod Altajem pięknie rozłożonym przy zlewie dwóch rzek Katuni i Biji panował względny spokój. Ulicami miasta przy dźwiękach bałałajek przechodzili pogodnie nastroszeni ludzie i nucili dumki monotonne.

Z baraków ustawionych na wysokim wzgórzu nad miastem, przyglądał się jeniec pięknym pasmom górskim rozciągającym się szeroko od strony Chin i nie miał do nikogo żadnych uprzedzeń. Czeredy psów błakających się po podwórzach obozowych łąsiły się za marny ochłap strawy około życzliwie spoglądającego na świat człowieka, póki ten czło-

wiek nie stał się innym, nie pozabijał psów i nie zjadł.

*

Na przemianę tę niedługo trzeba było czekać. Spokojny pozornie człowiek chwycił za broń i pędził ulicami, ogarnięty chęcią niszczenia. Raz po raz ziemia plamiła się krwią ludzką, a jęki ginących rozpływały się w szumie gwałtownej wichury, obalającej w tym czasie domy, zrywającej dachy i śniegiem przykrywającej miejsca zasadzek człowieka. Czy chciał się człowiek dostroić do szalejącej burzy śnieżnej, czy też burza potworna przeniosła z dalekich stron niepokój ludzkiej duszy?

*

Z Petrogradu przedarła się wieść, że komitet rewolucyjny tak zwanych bolszewików opanował sytuację, zajął Zimnyj dworzec i stworzył nowy rząd z Leninem na czele.

Ludzie pojedynczo przebiegający ulicami poczęli się skupiać. Przeczucia ich znalazły urzeczywistnienie. Bezladna akcja miała już oparcie w wydarzeniach na innych terenach Rosji.

— Hej słyszycie! — ktoś wołał. — Władza przeszła w ręce pracującego ludu! W ca-

łej Rosji i większej części Syberji walki. Ginie wszystko, co chciało utrzymać dawnych carów i dawny reżim. Zbierajcie się. Kontrrewolucjonistów rozniesiemy na nożach!

— Na nożach! — odpowiadał gromadzący się tłum. — Potopimy w rzece, pomordujemy za krzywdy nasze i cierpienia!

I płynęła fala wzburzonych ludzi temi samemi uliczkami i drogami, gdzie niedawno jeszcze rozbrzmiewały smętne bałajki.

Człowiek, który podświadomie reagował na wypadki krwawe rozgrywające się na terenach Rosji i Syberji, obecnie pod wpływem napływających wiadomości zbierał się w coraz większe gromady i działał. W akcji swej podniecał się tem, że w innych miastach trupy ścierały drogi do nowego życia, że w Sewastopolu marynarze obcięli toporami głowy oficerów, wbili krwią ociekłe na lance i obnosili ulicami, by przekonać opornych, jak straszny jest gniew zrywającego pęta, ludu.

W gromady podnieconych ludzi wsiąkały coraz potworniejsze, nieraz wprost nieprawdopodobne do uwierzenia rzeczy, jak w gąbkę. Tłum słuchał i wszelkie wyimaginowe nawet okrucieństwa przyjmował jako zdarzenia prawdziwe. Żadne argumenty nie były w sta-

nie powstrzymać rozbudzonej w tych masach ludzi, żądry niszczenia. Jak lawina tocząca się z gór szli naprzód dając tylko posłuch prowodyrom, rozbudzającym najgorsze, drzeмиące w człowieku instynkta i jak lawina niszczyli po drodze wszystko, co napotkali, bez względu na to, czy dla nich samych przedstawiało korzyść. Palili nagromadzone zapasy zboża, mąkę wysypywali na ulice i place, towary wrzucali do rzeki, naftą oblewali domy, by piękniejszym nasycić się pożarem.

— Burżujskie rzeczy — krzyczeli — niech nie pozostanie kamień na kamieniu.

A gdy osłabli w szale, siadali na murawach czy nad brzegami rzek. Sprowadzali przed siebie winnych. Sądziłi.

A więc w jednej z okolicznych wiosek żywcem pogrzebali w ziemi na mocy wyroku niejaka Afanasiewę, zato, iż miała się dopuścić kradzieży na szkodę swej sąsiadki. Pod górami przywiązali do drzewa młodego człowieka i ogniem palili mu boki zato, iż miał wzniecić pożar w osadzie. Pod laskiem w Katuni utopili śmiałka, który miał wydrwiwać przewrót bolszewicki.

Później okazało się, że ani Afanasiewa nie była złodziejką, ani upieczony człowiek pod-

palaczem, ani utopiony w Katuni przeciwnikiem bolszewizmu.

Sędziowie spełnili atoli swój obowiązek, a o resztę się nie troszczyli.

XXII.

Był posępny dzień.

Nad miastem w wielkich gromadach przełatywały wrony, czepiały się drzew, wież, wyższych domów i krakały przeraźliwie. Podobnie jak na polach wojny, gdy maszerującym oddziałom wojsk chciały wykrakać mającą nastąpić bitwę i wiszącą nad głowami żołnierzy śmierć.

Bolszewicy zagarnęli władzę w Bijsku w swe ręce. Naczelnikiem wojskowego okręgu mianowali żołnierza, który wykształcenie rewolucyjne zdobył na petrogradzkich mitingach. Na miejscowych burżujów nałożyli kontrybucję idącą w miliony rubli. Przeprowadzali ustawiczne rewizje, a gdy ten i ów prosił, by mu dano wreszcie spokój, bo wszystko już zabrane, odpowiadali:

— U burżuja nigdy nie wyczerpuje się dostatek. Dawaj, co dać rozkazano, a nie to stawaj pod ścianą i łeb ci rozwalimy krwiopijco!

Za władzami włóczyli się po domach różnego rodzaju bandyci i rabowali wszystko na własny rachunek. Działali przytem zawsze w imieniu oburzonego proletariatu celem wzmocnienia nowych władz i zdławienia sabotażników. Posłuch wreszcie ogólny zyskali ludzie ryzykujący wszystkim i nie cofający się przed żadnem okrucieństwem. Ci stawali się panami sytuacji i przed nimi zadrżało całe miasto.

*

Nowe władze sprowadziły do obozu jeńców, marynarzy tureckich z Czarnego morza. Wśród nich rozpoczęły na szeroką skalę agitację i przez nich chciały zwarty jeszcze obóz jeńców rozsadzić. Zjechał nawet z Moskwy mowca, zapowiadany jako komisarz spraw zagranicznych, w rzeczywistości niedawny małomiasteczkowy handlarz z Małopolski wschodniej. Chcieli w apatycznym jeńcu rozbudzić ochotę do nowych walk i sobie zabezpieczyć niepewną jeszcze sytuację pod Ałtajem. Chcieli go użyć do rozniecenia pożaru rewolucyjnego tam, gdzie tubylcza ludność nie okazywała dostatecznego zainteresowania.

Narazie odeszli bez rezultatu.

*

Na straże obozowe wysłali krasnoarmejki, które rzecz dziwna surowością swych wystąpień przewyższyły mężczyzn. Do każdego jeńca starającego się wyjść poza obręb baraków strzelały bez zastrzeżeń. Co więcej nawet w obrębie baraków nie pozostawiały ludzi w spokoju. Strzelały przez parkany na podwórza obozowe i do samych baraków. Na szczęście baraki otoczone były wysokim wałem ziemi i pociski grzęzły pod ścianami. Strzelanina trwała z małymi przerwami dzień i noc. Nagle ustała.

— Sprzykrzyła się widocznie krasnoarmejkom zabawa w wojnę — ktoś z jeńców zwrócił uwagę.

— E — przerwał drugi. Kilku z naszych chłopaków spодobało się krasnoarmejkom i złożyły broń. Przestały się bawić w gorliwych obrońców rewolucji. Zeszły nawet ze swoich posterunków.

I rzeczywiście krasnoarmejki zapomniały o swych żołnierskich obowiązkach, spełnianych niedawno jeszcze z taką zawziętością. Wpatrzone w osobników drugiej płci nagle opanowujących ich zmysły nie dbały o porządek i dyscyplinę obozową. Wypuszczały jeńców na step i do miasta. Karabiny ustawiły

w przedsionkach barakowych, a czas służby spędzały na rozmowach z jeńcami, skąd czerwogwardziści musieli je wypędzać z oburzeniem.

XXIII.

W okolicy głoszone o powstaniu niepodległej republiki altajskiej. Obwieszczano, że Ałtajcy, Kirgizi i Kałmycy postanowili oderwać od Rosji szerokie ziemie i połączyć z niemi kraj aż do Dżungarji. Bijsk rozpoczynający odwieczny trakt do Chin na ciepłe rachmaninowskie klucze, gdzie według opowiadań tubylców ptactwo ścigało na zimowe leże, miał być stolicą tego nowego państwa. W skład nowej republiki miał wejść również drugi trakt z miasteczkiem północnem Kuźnieckiem. Wkońcu trakt prowadzący na Altaj od strony znanego jeńcom Ustjkamieniogorska, rozłożonego nad burzliwym w tych miejscach Irtyszem.

Bolszewicy postanowili zamiar ten udaremnić. Ściągnęli do Bijska większe siły, przeprawili się przez rzeki i ruszyli do walki z tubylcami w góry. W mieście zostawili tylko świeżo sformowane oddziały z obcokrajowych czer-

wonogwardzistów, przeważnie Niemców i Węgrów, szukających obecnie porachunków z pozostałymi w obozie jeńcami.

*

Czerwonogwardziści uwzięli się przedewszystkiem na oficerów. Zrzucili ich pewnego dnia z łóżek i bez ubrań pędzili do nory wykopanej w ziemi. Przy drzwiach wchodowych zastąpiły im atoli drogę gromady żołnierzy jeńców i czerwonogwardziści ustąpili przed tłumem. Zostawili oficerów w spokoju. Skorzystaliby dopiero z przypadkowego zapalenia się oficerskiego baraku, wyszli na ulice i przekonywali przechodniów:

— Patrzcie co robią oficerowie jeńcy. Gdy my walczymy w górach z Kałmykami, oni na tyłach naszych wprowadzają zamęt i dobytek proletariatu niszczą. Oto macie gniazdo jawnych kontrrewolucjonistów i sabotażników. Tolerujcie ich, a wnet całe miasto spali i ułatwią zwyciężenie proletariatu przez chroniącą się w lasach burżuazję.

Wywoławszy odpowiedni nastrój, nawrócili we wzmożonej sile do obozu i rozpoczęli strzelaninę. Odpędzili jeńców od palącego się baraku i czekali, aż pożar ogarnie resztę obozu

i przeniesie się na miasto. Koniecznie chcieli znaleźć argument do krwawej rozprawy z oficerami.

Los niezawsze atoli sprzyja chytrłości człowieka.

Ogień nie przeniósł się na miasto, ani też nie objął dalszych bud. Czerwonogwardziści nie mogli dać upustu swoim zachciankom. Odeszli. Późno w noc posłali jednak do obozu kilkunastu ludzi, którzy korzystając z silnej wichury, podpalili z dwóch końców baraki. Spieszących jeńców na ratunek, lub uciekających z płonących bud obrzucili z za węglów strzałami.

— Teraz albo nigdy — mówili. Teraz wypłoszymy ich wszystkich z tych bud. Zmusimy do wstąpienia do czerwonej gwardji, a opornym znajdziemy takie pomieszczenie, że wyzdychają, jak myszy.

Krepy, mały człowiek, długoletni bandyta węgierski wszedł z gromadą swych zwolenników do baraku zajętego przez oficerów i kazał ich znieść do przygotowanej dla nich norry, wykopanej w ziemi. Nie obeszło się przy tej sposobności bez utarczek, bez pobicia i bez ran. Jeńcy oficerowie powołując się na rozkaz komendanta rosyjskiego na okręg Bijski, sta-

wiali opór. Oczywiście, że opór ludzi nieuzbrojonych zgóry był skazany na niepowodzenie. Bandyta potargał w strzepy pisemny rozkaz rosyjskiego komendanta, pokazany mu przez jeńców i krzyczał:

— Ja tu jestem władzą! Żadne inne rozkazy mnie nie obchodzą! Czekać, tam na dole pomówimy o tem, kogo należy słuchać. Zrozumiecie, kto jest komendantem miasta. Nie przyjdą wam już z pomocą ogłupiani przez was żołnierze. A dla towarzystwa dodamy wam tych, którzy mają burżujskie nawyczki.

*

I tak się stało. Oficerów zamknięto w norze, niedaleko siedziby władz bolszewickich i nie dano żadnego posiłku. Ukradkiem przez małe okienko wystające nad ziemią wrzucał ktoś kawałki chleba.

— Wygłodzą nas lub wymordują — odezwał się jeden z jeńców.

— Napewno niczego dobrego nie można się spodziewać od ludzi, którym przewodzi zwykły bandyta — wtrącił drugi.

— Lepiej było w walce z nimi zginąć, niż dać się tutaj zamknąć na powolne zdychanie.

— Ale cóż. Słabi jesteśmy i upadliśmy spo-

dleni długoletnią niewolą. Niezdolni do czynu i niezdolni do rozbudzenia w sobie woli przewyciężenia trudów życia. Pełzamy po tej ziemi, narzekamy, klniemy i wokół siebie sięjemy gorycz wiecznie oczekując śmierci i wiecznie przed nią uciekając.

Niektórzy wzięli do rąk siekiery, łomy, które przemycili z baraków, ułożyli się pod drzwiami ziemianki i czekali. Niektórzy łazili z kąta w kąt, powtarzali te same brednie i stawiali takie same zapytania. Wspinali się po drabinkach ku małym okienkom i po tych samych drabinkach niewiadomo, który raz schodzili. Zaczynali następnie tę samą zwrotkę włoskiej piosenki: „sul mare luccica“ i tę samą zwrotkę w tem samem miejscu przerywali.

Aż wreszcie wszyscy znużeni posnęli.

.

W mieście panowała cisza. Z niedalekich gór dochodził tylko odgłos strzałów. To bolszewicy prowadzili walkę z Kałmykami. Strzały powoli coraz bardziej słabły i o świcie zupełnie ucichły. Domy i domki wynurzały się wyraźniej z mroków nocy i światło dzienne wdarło się do różnych zakamarków i bud. Zapłatało się również przez małe okienko nad

głowami półobłąkanych jeńców, leżących u drzwi ziemianki, jak zahipnotyzowana gromada czekająca na krwawą rozprawę. Do rozprawy atoli tym razem nie przyszło. Przed barakiem zjawilo się wprawdzie kilku obco-krajowych czerwonogwardzistów z oddziału krępego bandyty, skończyło się atoli tylko na groźbach wymordowania wszystkich za rzekome spiski w domu archiereja i zebranie kontrrewolucjonistów w Narodnym domu.

Jeńcom doniesiono o nowych zawziętych walkach w Ałtaju i o utarczkach jakiejś białej gwardji na pobliskich stepach. Próbowano ich przeciągnąć w tę i tamtą stronę walczących. Do białych i do czerwonych. Przekonywano, że w ziemiankach zginą wcześniej czy później. Nie wytrzymają długo takiego życia.

Jeńcy jednak opuścili siekiery, noże i łomy. Przerażeni tem, że żyją jeszcze, że nie doczekali się krwawej zemsty, padli na barłogi w brudnej norze. Nie obchodził ich piękny dzień słoneczny, nie interesowały wieści o nowych ruchach wojsk na północnym stepie. Słuchali bez wrażenia stuków młotów przy odmontowywaniu starych jermakowskich luf armatnich służących dotąd do ozdoby budynków rządowych i wachali smród rozkładają-

cych się trupów niedawnych wojowników złożonych w pobliskiej szopie.

*

Mieszkańcy Bijska tymczasem roznosili coraz nowe wieści. Podawali z ust do ust, że Japończycy ciągną od wschodu na Nowonikołajewsk, że korpus Czechów zorganizowany w czasie wojny światowej po stronie Rosji, rozpoczął z bolszewikami walki. Przekonywali najbliższych zaufanych znajomych, że po zawarciu pokoju w Brześciu nad Bugiem bolszewicy postanowili Czechów rozbroić i wydać Niemcom, że Czesi w odpowiedzi na tę decyzję rozpoczęli rozpaczliwą walkę we wszystkich miastach i osadach, gdzie się znajdowali. Szli na magazyny broni, na składy amunicji i walczyli na śmierć i życie. Zajęli już nawet przestrzeń od Wołgi do Uralu. Przedostali się za Ural i koncentrują się wzdłuż linii kolei transsyberyjskiej.

*

Pod wpływem tych wieści w Bijsku ogłoszono powszechną mobilizację. Miejscowy soviet rozlepił na ulicach alarmujące odezwy,

zebrał resztę sił i wyjechał w kierunku Bar-naula.

Poszli czerwonogwardziści przeciw białym gwardzistom. Rosjanie przeciw Rosjanom. Jeńcy przeciw jeńcom. Niedawni towarzysze leżący na tych samych pryzkach w obozach koncentracyjnych przeciw swym niedawnym sąsiadom, z którymi zgodnie przeżyli długie dni.

Bijsk opustoszał.

Po połamanych drewnianych chodnikach tłukły się jeszcze nieliczne straże bolszewickie, uzbrojone w karabiny, granaty ręczne, rewolwery i długie noże.

Ludność miejscowa pochowała się w piwnicach i domach. Człowiek tak zwany neutralny z biciem serca oczekujący wyniku rozgrywających się licznych w okolicy walk, chciał stać się najniepozorniejszą rzeczą nie wpadającą w oczy nikomu. Chciał zejść wszystkim z drogi i niepostrzeżenie przetrwać ciężkie dni.

XXIV.

Pozostali w Bijsku krasnoarmejcy upijali się wódką, a następnie starym zwyczajem urządzali sobie „obstrieli”.¹ Sprowadzili

¹ obstrzały.

z ziemianki młodego oficera jeńca, ustawili go pod ścianą w budynku wojskowego naczelnika i zakładali się, kto najbliżej ciała młodego oficera trafi, strzelając z wintowki,¹ nie raniąc go wcale.

— Nu strielaj² Iwan — nawoływał ledwie stojący na nogach, pijany krasnoarmejec.

— Nu wot propał³ — krzyczał drugi i pokazywał na ścianie odległość strzału od ciała młodego chłopaka, czekającego końca męczarni.

Eh! — odpychał znowu inny — krasnoarmejsca, który zranił w rękę stojącego pod ścianą oficera. Sam podniósł z zamachem swą wintówkę, jakgdyby pewnym był, że trafi przy samem ciele i nie zrani. Zranił jednak tym razem w ucho i odszedł.

I tak dalej i dalej. Coraz to nowi żołnierze z rozbewstwionej, pijanej, krzyczącej czeredy ustawiali się, coraz to nowi celowali i coraz to nowi strzelali. Śmierć krążyła wokoło. Zbliżała się, to znów się oddalała. Trzeba było mieć mocne nerwy, aby przetrzymać. Ale któż mógł je mieć jeszcze wśród chorych jeń-

¹ karabin.

² strzelaj.

³ przepadł.

ców. Nic też dziwnego, że młody chłopak nie zniósł tej krwawej zabawy i upadł.

Krasnoarmejcy zbiegli w przekonaniu, że któryś z nich zastrzelił jeńca.

Ktoś przyprowadził go do przytomności i dostawił do ziemianki. Ktoś opowiedział jeńcom o tem, co zaszło. Od młodego oficera natomiast niczego dowiedzieć się nie było można. Milczał. A gdy nadarzyła się sposobność, uciekł. Uciekł przed ludźmi na step. Błąkał się tam następnie jak duch potępiony. Wkońcu zawędrował nad rzekę Biję i tam się utopił.

*

Akurat w tym czasie zgromadzili się pod trupiarnią ludzie i wśród modłów trumnę wynieśli na cmentarz. Już przed cmentarzem rozpędzili atoli pobożnych bolszewicy. Z trumny wyciągnęli maszynowy karabin przygotowany dla jeńców, a schwytanych rozstrzelali w zaroślach.

To inni ludzie zdradzili spiskowców i bolszewikom ułatwili przedwczesne zlikwidowanie buntu.

*

Zawzięci czerwono-gwardziści skorzystali z szalejącego w tym czasie huraganu, pooble-

wali naftą ważniejsze obiekty w mieście i szykowali się do tak zwanej nocy św. Bartłomieja. Przed ewentualnem opuszczeniem miasta chcieli wszystkich burżujów wyrząć. Pędzili z pochodniami ku rzece, by stamtąd rozpocząć zniszczenie. Czekali na wzmocnienie szalejącej burzy, która nagle przycichła. Ta chwila jednak pokrzyżowała im plany. Bo oto inni ludzie przeczuli zło. Wyszli na miasto i razem z tak zwanymi frontownikami obalili miejscowe władze. Część krasnoarmejców uciekła w lasy, a część chroniła się w obozie jeńców. Byli przekonani, że ludzie o wszystkim, co było zapomną, że przebaczą. Tymczasem pomylili się. Jeńcy podnieceni ostatnimi wypadkami zareagowali nagle. Rzucili się na przybyszów. Bili ich toporami i różnemi nożami.

— Gińcie! — wołali. — Niech ani jeden z was żywym nie pozostanie. Śmierć za śmierć, udręka za udrękę.

I całą noc trwały jęki i nawoływania o ratunek.

Krasnoarmejcy nie chcieli umierać.

— Tyle już w swem młodem życiu przeszedłem — skamlał jak pies pod drzwiami oficerskiej ziemianki młody krasnoarmejec Ru-

mun — że powinno mi życie obrzydnąć. A jednak lęk mnie ogarnia i strach. Chcę żyć. Może zbyt silnie uwierzyłem w nowe hasła, może dni szczęścia ludzkiego wydały mi się bliskimi. Ratujcie. Tam, w obozie na wzgórzu nie darują i nie przebaczą.

Jeńcy ukryli go w norze. Może przekonał ich młody chłopak, a może jego piękne oczy zadecydowały o uratowaniu.

*

Nad ranem uspokoiło się wszystko. Burza przeszła i ludzie osłabli. Na ulicach miasta leżały tylko połamane drzewa, zerwane dachy domów, a wzdłuż rzeki i pod obozem jeńców wałały się ludzkie trupy.

Człowiek wyszedł z domów i baraków i zamyślił się. Przypomniawszy sobie, że i on niedawno wojował, że szedł z bagnetem w rękę na wroga. Strzelał, niszczył i zabijał. A gdy dostał się do niewoli, gdy wróg niezawsze podszedł do niego, jak człowiek szlachetny, było mu przykro. Czyż nie powinien więc był wczoraj przebaczyć? Leżące na zboczach wzgórz ciała pomordowanych nieszczęśliwych ludzi wzbudzały w nim inne uczucia. Zbliżył się do nich i zniósł na jedno miejsce. Sporzą-

dził zabitym trumny i pobożnie wśród modlitw pogrzebał na cmentarzu.

Młody Rumun też cało i zdrowo opuścił norę. Gdzie poszedł? Niewiadomo. Może w tej chwili życie wydało mu się straszniejszym od śmierci. Może drżał znowu gdzieś u wrót nowego jego etapu, jak drżał wczoraj, gdy błagał oficerów o ratunek.

*

Na wzgórzach stepowych wokoło baraków ukazali się zrana Czesi. Młodzi, opaleni w słońcu, wysmagani wiatrem stepowym. Stali oparci o karabiny i wpatrywali się w doliny na miasto, jakgdyby chcąc się upewnić, co ich po zejściu z wzgórz czeka.

W mieście tymczasem szeroko otwierano bramy domów i zagród. Ludzie wyszli z ukrycia i prześcigiwali się w tem, by zwyciężcom się przypodobać.

Taki jest też człowiek.

Niedawno jeszcze starał się zaskarbić łaski czerwonych, by mógł żyć, a obecnie zapisywał się pod nowe sztandary. Głosił, że jest demokratą, socjalrewolucjonerem względnie nawet Czechem, chociaż nie wiedział nierzadko skąd to wojsko tutaj się wzięło i do jakiej rasy

naród ten zaliczyć. Sztandar obrany włóczył po różnych błotach, z gorliwości udanej niejednokrotnie denuncjował ludzi Bogu ducha winnych, a następnie sztandar znów porzucał, gdy wydawało mu się że niedość bezpieczne jest dla niego schronienie.

Wskutek denuncjacji wyłapywano wskazanych wrogów. Nowo powstałe zaś oddziały białych wojsk niedaleko dworca kolejowego powiesiły kilkunastu ludzi na drzewach, w Katuni utopiły kilku, a na stepie gromadce pojmanych czerwono-gwardzistów kazały kopać groby, do których następnie żywcem ich wrzuciły.

*

Za cofającymi się na doliny krasno-armejcami zjechali z gór Altaju, Altajcy. Na małych kudłatych konikach wdarli się w ulice miasta wywijając lancami, pikami i dzidami. Oryginalne wojsko przypominające oddziały Tatarów, wdzierających się przed wiekami z Azji, do ziem Europy. Krzycząc, potrząsali skrwawionymi głowami poległych w walce z nimi krasnoarmejców. Głowy te rzucali na chodniki ulic lub składali na kupę przed budynkiem wojskowego naczelnika, skąd niedawno jeszcze ci sami pomordowani krasno-

armejcy ruszali do walki o zdobycie gór. Wyli przytem jakieś dzikie pieśni i ponure. Wyglądem swoim, zachowaniem się i przeraźliwym wyciem podobnem raczej do jęku, wywołali przygnębiający nastrój. Toteż z ulgą żegnali ich jeńcy, gdy nawracali napowrót w góry, pędząc naoślep ulicami Bijska, ku rzece.

Pozostał jeszcze w mieście szaman.¹

Zaszedł do baraków i wnikliwie przyglądał się jeńcom.

Na głowie miał skórzaną czapkę, z której spadał na plecy płat skóry pokrytej długim gęstym włosem. Nieco niżej w trzech szeregach zwisały małe dzwonki i dzwoneczki. Pod dzwoneczkami znajdował się szeroki pas skórzanym z gęstymi frendzlami. Szaman trzymał w ręce mały bębenek zakończony rzeźbą twarzy jakiegoś bóstwa. Wywodził łamanym rosyjskim językiem o wiecznej walce zła z dobrem, a w tańcu religijnym dziwacznym prorokował nieszczęścia narodowi Europy wdzierającym się w głąb Azji.

— Niczego i tak nie zmienicie — wołał. — Zginiecie! A walka trwać będzie, bo bogowie wiecznie wiodą spór o władzę nad ziemią i wiecznie są w pogoni za człowiekiem.

¹ kapłan.

Wywijał następnie rękami na wszystkie strony świata, na obóz jeńców rzucał jakieś przekleństwa, pałką uderzał o hałaśliwy bębenek, a gdy spełnił widocznie swoje posłannictwo, oddalił się od gromad jeńców, rozbawionych widokiem tego dziwnego proroka, co z gór zszedł, by Europie katastrofę obwieścić.

*

Jeńcy rozeszli się do baraków podpierając się różnego rodzaju kosturami, laskami, kuścikając, kaszląc i stękając.

— A niech szlag wszystko trafi i tego szamana i tych Kałmyków — odezwał się jeden z nich, gdy wreszcie pousiadali na podwórzu pod ścianami baraków i rozpoczęli zwykłe swary i narzekania.

— Tak, ale Kałmycy dosyć naszych wyróżnili — przerwał drugi. — Kto wie, co się jeszcze z nami stanie.

— A niech się stanie, co chce — jęczał znowu któryś. — Czyż mnie daleko już do śmierci. Niech się mordują ludzie, kiedy chcą, ja już mam wszystkiego dosyć. Zdechnę i skończę swój przeklęty byt.

— W pluskwach i w brudzie — dorzucił inny.

— A cóż z tobą stanie się innego w tych warunkach?

— Nie będę tu czekał na śmierć!

— Acha więc pójdiesz do bolszewików, do białych, czy może do Kałmyków, aby twój łeb skrwawiony jutro rzucili na ziemię.

— Wszystko jedno. Póki żyję, pójdę przez życie. Dojdę do celu, albo padnę. Nie będę w spodleniu czekał, aż inni mnie kopną jak psa zdychającego lub z litości przygarną do siebie. Wojnę przeszedłem także jak i inni. Okrucieństw widziałem dosyć. Napewno nie pójdę tam dlatego, by zabijanie ludzi sprawiało mi przyjemność. Jakże jednak inaczej w tych warunkach można ogarnąć się z upodlenia, gdy za każdym razem przykładają nam karabin do głowy i spychają na coraz głębsze dno beznadziejnego położenia.

— Eh — głądził znowu jeniec w resztkach łachmanów siedzący pod ścianą. — I cóż to życie ludzkie dalej przyniesie? Takie same odwieczne kłopoty. Gdybym miał pewność, że wreszcie po tych strasznych walkach ludzkość urzeczywistni swe marzenia o pięknym współżyciu... Gdybym wiedział, że nie nawróci do takiego sposobu życia, które potępiła...

I tak dalej, tak dalej ciągle wokoło wiedli

jeńcy te same rozmowy, prowadzili takie same dyskusje i rozważania. Jedni decydowali się wkońcu pójść do oddziałów białych, do wojsk narodowych, które obok Czechów poczęły się organizować. Drudzy chcieli w neutralności przetrwać wszystkie zawieruchy syberyjskiej wojny, a inni wreszcie pochyleni i pogarbieni włączając się po podwórzach barakowych spędzali czas na wiecznem przeklinaniu życia i ludzi. Nieliczni w zasadach wiary znaleźli rozwiązanie wszystkich zagadek bytu ludzkiego i z rezygnacją czekali końca swej ziemskiej tułaczki.

Noc powoli zapadała. Step otaczający baraki szarzał coraz słabiej, wkońcu rozpułynał się prawie w ciemnościach. Baraki, jak duże psie budy rysowały się jeszcze na pewnej odległości. Wreszcie znikły. Jęk chorych ludzi, stękanie i narzekanie przekonywały tylko przechodnia, że w pobliżu zgromadzone są masy cierpiących istot.

*

Na stepie pozostał jeden jeńiec. Nie miał odwagi tej nocy zawrócić do baraków. Do świadomości jego wciskała się pierwsza młodość. Marzenia o nigdy niespełnionej rzeczy-

wistości. Odrębny młodzieńczą wyobraźnią
wytworzony piękny świat. A potem. Coraz
bardziej przykre życie.

— Gdzieś tam daleko — westchnął — by-
łem na słonecznych drogach życia. Przynaj-
mniej tak mi się zdawało. Zdawało mi się, że
dobry szlachetny człowiek życie na ziemi do
raju upodobnić może. Siłą swej woli i rozumu
może zwalczyć zło, które potępia, nazawsze.
I rozpocząłem z tą wiarą pielgrzymkę życia.
Uginałem się pod ciężarem coraz to nowych
trosk i trudów. Borykałem się z małostkami
ludzkimi starającymi się jak pleśń obrócić każ-
dą piękniejszą myśl. Z poświęceniem walczy-
łem z przeszkodami raz po raz wyrastającymi
przed memi oczyma. Aż oto znalazłem się tu-
taj. Na dnie nędzy człowieka. Za mną dymią
się jeszcze pola skrwawionej Europy, z któ-
rych zszedłem. Przede mną Azja rozpoczyna
taką samą zawziętą walkę. I drogi które ongiś
wydawały mi się skąpanymi w słońcu, zawisły
wszystkie nad przepaścią. Dużo ludzkich tru-
pów wrzucić tam trzeba, by z nich powstał
pomost do drugiego brzegu.

.

Trudno... Zważyć atoli nie można, bo nie

można pozbawić człowieka wiecznej tęsknoty za światem, który w młodości jego wydawał mu się tak bliskim.

Od strony baraków zbliżył się jakiś Rosjanin. Poklepał siedzącego jeńca po ramieniu i rzekł:

— Nu cóż? Madjar, krasnoarmiejec! Germaniec, krasnoarmiejec! Czech, Serb, wszyscy jeńcy wojenni! Ich miejsca w tiurmach i obozach koncentracyjnych! Tam zgnieć powinni! Małoż rozlali krwi ludzkiej na frontach wojny i tu jeszcze życie zatruwają naszemu narodowi. Oto do czego Rosja doszła. Kałmyk nie uznaje rosyjskiego rządu, a jeniec rozkazuje prawosławnemu narodowi. Jakże może być dobrze w Rosji, gdy porządek robią ludzie dawno poza nawias życia wyrzuceni.

*

Nad ranem wmaszerował do obozu jeńców oddział białogwardzistów. Dobrane rosłe chłopcy waliły o ziemię butami i śpiewały bezmyślną piosenkę żołnierską: „ciuparyki, ciupcyki ciupajdom“. Oddział przeszedł środkiem obozu i ustawił się przed wrotami prowadzącymi na step. Kilkunastu ciuparyków rozmawiających między sobą różnemi językami po-

zostało na podwórzu przy biało-zielonym sztandarze, a reszta rozeszła się po barakach na połów jeńców.

Niebawem też wyprowadzili ciuparycy trzydziestu sześciu jeńców przeważnie Węgrów i wywiedli na step.

Jeńcy przeczuli zło. Opierali się, nawracali do baraków, a gdy znaleźli się na stepie, rzucili się do ucieczki. Ucieczka taka musiała oczywiście być beznadziejną. Człowiek jednak, nad którego głową wisiała śmierć, ryzykował wszystkim i nie zastanawiał się długo nad tem, czy wybrana droga do uratowania życia doprowadzi do celu.

Biegli więc jeńcy naosłep ku miastu, w głęboki step, ku barakom. Ciuparycy rozpoczęli strzelaninę. Bili w głowy, brzuchy, oczy. Rannych i jęczących ludzi dobijali kolbami i rozdeptywali butami.

— Szubrawcy, bandyci, łotry! — krzyczeli jeńcy przyglądający się masakrze z obozu.

Nikt jednak z nich do walki z białogwardzistami nie poszedł. Może myśleli tylko o sobie. Może godzili się z przeznaczeniem. A może mimo wszystkich przeżyć przecież więzy splatające ich z życiem były jeszcze tak silne, że ulękli się śmierci.

Ciuparycy resztę niepomordowanych jeńców uwiedli za stepowe wzgórza i w jarach dokonczyli rozpoczętego pod obozem krwawego dzieła.

A kiedy znowu noc zapadła i w obozie układli się do snu jeńcy, ciuparycy krwią zbroczeni zawrócili ku miastu. Szli drogami pod cmentarz po lewej stronie baraków.

Tuż nad urwiskiem pod obozem padły nagle szybkie nerwowe strzały. To dwaj białogwardziści legli trupem na skłonie wzgórza. Może za dużo wiedzieli o drugich swych towarzyszach lub może potępiali czyny, z którymi oswoić się nie mogli.

XXV.

Gořąco było nieznořne.

Kilku jeńców uciekło z obozu na drugą stronę miasta, nad czyste wody rzeki Biji. Łódkami przeprowili się na wyspę i wśród krzaków zdala od ludzi chcieli na chwilę zapomnieć o ciężkich przeżyciach ostatnich dni. Mieli już wszystkiego dosyć. I czerwonych i białych. Kałmyków i Rosjan. Wpatrywali się w twarz rybaka rosyjskiego naprawiającego łódki przy brzegu rzeki. Chcieli w nim

znaleźć wrodzony, tutejszym mieszkańcom dawny spokój. Ale na próżno. W rosyjskim człowieku nastąpiła zmiana. To już nie był muzyk spokojnie żujący ziarnka słoneczników na dalekich dworcach kolejowych, to nie był już czaudon oparty o piec i wśród monotonnej zimy przy syczącym samowarze, filozofujący o życiu niezbadanem.

— Wot widzisz — odezwał się zagadnięty rybak. — Syberja to przecież, a nie Syberja. Ludzie ci sami, a przecież nie ci sami. Eh. Bywało, usiądziesz sobie przy samowarczyku, najesz do stakańczyka czaju i patrzysz, jak śnieg za oknami cicho opada. A teraz? Drżysz i uciekasz ciągle przed śmiercią. Ziemia i niebo oddalają się od siebie, a przecież kiedyś dla mnie były tak blisko.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Z krzewów padały szerokie cienie na ławice piaszczyste. Za rzeką po całodzienną udręce schodzili mieszkańcy miasta z ulic i placów do swych domów niepewni, czy noc spędzą spokojnie. Na wzgórzach za miastem widniały te same baraki jeńców, do których nie tak dawno jeszcze przywędrowała gromada ludzi z obozu nowonikołajewskiego, zadowolona, że znalazła zaciszne ustronie pod Ałtajem. Ileż się od

tego czasu zmieniło. Jakież przemiany wewnętrzne przeszedł pozostały przy życiu człowiek. Jakże inaczej patrzył na ten sam step, te same płynące spokojnie wody dwóch rzek i ten sam fioletowy Altaj.

Rybak odszedł.

U brzegów rzeki, jak u brzegów nowego życia pozostała mała samotna łódka. Pusto było wokoło i głupio.

— Trudno — odezwał się po chwili jeden z jeńców. — Życie ludzkie jest takie jakie jest. Musimy wleźć do łódki i płynąć, jeśli chcemy żyć. Musimy wierzyć w celowość porządku świata i musimy wierzyć, że łódkę przeprowadzimy przez najbardziej burzliwe bałwany, choćbyśmy nieraz byli bliscy zatonięcia.

*

Białe rosyjskie wojska chciały przywrócić dawny reżim. Nowy komendant miasta stary pułkownik kazał codziennie po modlitwie wieczornej chłostać nowobrańców, a jeńców rozstrzeliwać w razie wykrycia jakiegokolwiek spisku. A wszystko dla przywrócenia rozluźnionej dyscypliny.

Do Słowian tylko musiał zapalać urzędową sympatią. Wszak panami sytuacji na Syberji

byli Czesi, wszak z ich łaski białe wojska syberyjskie mogły się organizować i z ich łaski pułkownik otrzymał w Bijsku władzę. Pułkownik o tem pamiętał i choć napewno z przyjemnością wszystkich Czechów spędziłby napowrót do baraków, jako byłych jeńców, musiał udawać ich sympatyka i musiał w stosunku do Słowian, którzy jeszcze pozostali w obozie inną prowadzić taktykę.

Zbierał więc ich osobno, przekonywał o wspólnej idei słowiańskiej i wzywał do wstępowania do wojsk syberyjskich dla obrony ginącej wielkiej Rosji.

Słuchano go jak ostatniego głosu z poza wrót cmentarnych. Życie przeszło już nad głoszonymi przez niego hasłami do porządku. Wielka matuszka Rosja była pustym dźwiękiem. Nie pomagały wielkie przemówienia. Napróżno silił się pułkownik, by dla interesów walącej się w gruzy dawnej Rosji wprzęgnąć wszystkie narody słowiańskie. Pomieszanie przez pułkownika z wrogami Rosji Serbów, dlatego tylko, że nie byli katolikami, a pułkownik był zdanie, iż poza Rosją są tylko Słowianie katolicy, ośmieszyło do reszty poczynania komendanta miasta i wywołało u zebranych jeńców ironiczne politowanie. Grunt, na któ-

rzym pułkownik chciał się utrzymać, by odbudować carską Rosję, coraz bardziej usuwał się i coraz większym w oczach jeńców i Rosjan, robił się pułkownik dziwakiem. Wkońcu przestał chodzić do obozu. Skończył swe posłannictwo. Odwrót ułatwiły mu zresztą także choroby w zastraszających rozmiarach ogarniające mieszkańców baraków.

Tyfus i grypa naprzemian rozpoczęły atak na wynędzniałych chorych już i tak ludzi. Nic też dziwnego, że pułkownik nie uważał za stosowne narażać swego życia przy bezowocnej zresztą pracy. Wolał zejść z placówki na której mu kazano w sposób nie odpowiadający jego przekonaniom kłaść cegły pod fundament nowej Rosji.

*

Jeńcy pozostali na jakiś czas sami. Włoczyli się po podwórzach barakowych dziwiąc się, że dzień znowu zeszedł, że żyją jeszcze i jeszcze nic złego im się nie stało.

Pod bramami barakowemi ustawiała się codziennie gromada grajków i wywożonym na cmentarz zmarłym towarzyszom wygrywała ostatnie pożegnalne melodie.

Melodie te wśród ludzi oczekujących swej

śmierci robiły niesamowite wrażenie. Niedobre instrumenty, ochryple głosy, stękania i narzekania mieszały się razem i przypominały jęk ludzi ginących w Nowonikołajewsku w zapowietrzonych ziemiankach.

Za kilka dni liczba muzykantów zmalała. Ubyło paru. Pojechali tą samą drogą przez tę samą bramę za swymi towarzyszami na cmentarz. Pozostali na zdekompletowanych instrumentach wyli jakieś pieśni do pieśni coraz mniej podobne. Raz po raz przerywali w najniewłaściwszym miejscu, jakgdyby zastanawiając się, czy żyją jeszcze i czy już na nich nie nadeszła kolej.

Wierna szkapina o zapadłych bokach plątała się bez przerwy od baraków do cmentarza i napowrót. Ze spuszczonego łbem wlokła coraz to nowe i nowe trupy.

Dyskusje w barakach ustały. O czym-że można było w takich warunkach dyskutować? Jakże można było snuć na przyszłość jakieś plany, gdy jutro już mogło wszystkie plany przekreślić?

Muzyka też zupełnie ucichła. Może wszyscy grajkowie pomarli, a może sprzykrzył się im ten dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek. Zmarłych nie wkładano już do tej samej zre-

sztą trumny. Składano ich poprostu na wozie, przykrywano płachtą i następnie bez ceremonij wrzucano do grobów kopanych stale przez Turków.

*

Tymczasem zbliżała się nowa zima, jakże ciężka i przykra.

W barakach nie było żadnych środków, by można się było z wszami i pluskwami uporać. Nawet o mydle nie można było myśleć. Tu i tam płonęło małe smolne łuczywo oświecające nędzne bytowanie człowieka, który zdawało się, zginie na tym śmietniku życia ludzkiego, jak ginie na kupie gnoju chore zwierzę.

Ściany drewnianych bud pokryte były szronem i lodem, a prycze roily się od pluskiew. Jeniec zmęczony, ułożywszy się do snu, zrywał się niebawem skąsany, by następnie już bez snu dośłęczyć do rana. Czasem oświecił kopczą szczypą ściany i deski, a zobaczywszy mrowie swych wrogów, łuczywo zgasił z przeżenienia.

*

Śniegi zawaliły ulice Bijska i cały step.

W obozie rozebrano wszystkie parkany

i płoty na opał. Z baraków pustych wyciągnięto deski i spalono. Coraz więcej jeńców ginęło z wyczerpania.

Kozacy operującego w tych okolicach atamana Aneńkowa, słynni z topienia swych przeciwników pod lodem w wodach Irtysza, przeszli tym razem obok obozu jeńców spokojnie, ginąc w jarach stepowych, jak upiory przy świetle księżyca. Widocznie nabrali przekonania, że z tych obozów nikt już do nowego życia się nie dźwignie.

*

A jednak. Młodzi ludzie zdeptani i sponiewierani przeżyciami ciężkimi dźwigali się z upadku za każdym razem, gdy życie przynosiło choć promyk nadziei na lepsze czasy. Nie odnowił się już wprowadzić dawny młodzieńczy zapal, ugrzęzła gdzieś w twardym ubiegłym życiu młodzieńcza wrażliwość, ale czyż mógł mimo wszystko człowiek pozostać bez wiary w to, że może być inaczej?

Uciekali więc jeńcy z obozów i więzień przy każdej sposobności. Zapełniali trakty syberyjskie nową falą ludzi ciągnących od wschodu na zachód. Z za Bajkału, z Mandżurji, z prjamurskiej obłaści, od Chin. Na dalekich dro-

gach swej nowej pielgrzymki spotykali nie-
rzadko tych, z którymi kiedyś jeszcze na ła-
wach szkolnych połączyły ich te same myśli.
Czyż mogło być przeciwnie? Było to ich zda-
niem zupełnie zrozumiałe. Nie dziwili się więc,
że tu się zeszli i że do nowych trudów stają
o urzeczywistnienie wspólnych ideałów.
A choć niejednokrotnie byli świadkami scen
z życia tak strasznych, iż włosy bieleły z prze-
rażenia, szli naprzód, bo tajemna jakaś moc
odnowiła w nich to wszystko, co każde stwo-
rzenie świata pobudza do zebrania swych sił,
by na nowo stawiać czoło przeciwnościom i na
nowo łamać przeszkody.

*

I huczał Ural cały, Ałtaj i Zabajkale. No-
wonikołajewsk nad Obem stał się nowym Ba-
bilonem, w którym gromadziły się różne na-
rody i różne wojska. Jeniec wojenny niedaw-
ny zdawało się dezerter życia, wciskał się
wszędzie i wszystkie nappełniał place i ulice.
Na twarzy jego widoczne było podniecenie, że
do nowych narówni z innymi ludźmi staje
wysiłek o lepsze jutro.

*

Pozostali w obozach zamknęli księgi mędr-
ców tego świata. Złamani życiem skulili się
pod łachmanami w zimnych barakach i cze-
kali na śmierć...

Od czasu do czasu otwierały się drzwi
drewnianych bud, a gromadka przygarbio-
nych ludzi wlokła zmarłego współtowarzysza
na step, do lasu lub nad brzegi syberyjskich
rzek. Ku porzuconemu trupowi zlatywały
z pobliskich drzew, wież czy minaretów wro-
ny i kruki zwane tu oddziałami sanitarnymi
i nieboszczykowi najpierw wydzióbywały
oczy, jakgdyby z troskliwości, by jeniec wo-
jenny jeszcze po śmierci nędzy swej nie oglą-
dał.

K O N I E C

Z wojny światowej na froncie austriacko-rosyjskim,
wyszła z druku, tego samego autora książka p. t.

„W ŻARNACH ŻYCIA”

Gebethner i Wolff. 1931.





J. Pouillon
20. XII. 1880.



104637

/A

